do 17 XI 19 47

W numerze: T. J. KROŃSKI — SPRAWA MAURRAS'A

Cena 20 zł.

KUŹNICA

Rok III Łódź, 17 listopada 1947 r. Nr 46 (115)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

„Wolność polega zatem na suwerenności w stosunku do nas samych i w stosunku do świata zewnętrznego, opartej na znajomości koniecznych praw natury: jest więc ona bezsprzecznie wytworem ewolucji historycznej. Pierwsi ludzie, którzy wyodrębnili się z królestwa zwierząt byli we wszystkich istotnych sprawach równie mało wolni jak i owe zwierzęta; lecz każdy postęp cywilizacji stanowił krok ku wolności".

Fryderyk Engels

TREŚĆ NUMERU:

ZYGMUNT MYSŁAKOWSKI — **PERSONALIZM A WYCHOWANIE**

JULIUSZ ŻUŁAWSKI — **TRZECI SEZON TEATRALNY W ŁODZI**

ANDRZEJ KRUCZKOWSKI — **PLAN MARSHALLA W DAWNYCH LATACH (II)**

TADEUSZ JULIUSZ KROŃSKI (ERAZM) **SPRAWA MAURRAS'A**

* * *

WYWIAD Z ILJĄ ERENBURGIEM

FEDERICO GARCIA LORCA — **WIERSZE**

JERZY PUTRAMENT — **KÓZKO — OJCIEC ODMAWIA**

EWA KORZENIEWSKA — **POWIEŚCI KRUCZKOWSKIEGO WCZORAJ I DZIŚ**

KAZIMIERZ BRANDYS — **JULIANA GAŁAJA POWIEŚĆ O GROMADZIE**

KANDYD — **TAK TOCZY SIĘ ŚWIATEK**

PRZEGLĄD PRASY

KSIĄŻKI NADESŁANE

NOTY

ZYGMUNT MYSŁAKOWSKI

PERSONALIZM A WYCHOWANIE*)

OSTATNIĄ z kolei próbą uzyskania podstawy dla dedukcji pedagogicznej (i nietylko pedagogicznej) stała się koncepcja osobowości. Pojęcie to zrobiło w czasach ostatnich niezwykłą karierę, jeśli się tak można wyrazić. I do tego polityczną.

Początkowo był to ważny składnik systemu filozoficznego Renouviera, na ogół bardzo mało popularnego nawet w kołach zawodowych filozofów, a prawie zupełnie nieznanego szerszym kołom inteligencji. Po Renouvierze przejął je niemiecki psycholog William Stern w znacznie bardziej znanym i komentowanym dziele „Person und Sache". Stern również wyszedł daleko poza psychologię; jego pojmowanie ma charakter metafizyczny i Stern bardzo silnie zaakcentował wyjątkowe stanowisko osoby w świecie naszego doświadczenia, podkreślił jej autonomiczność i specyficzność w stosunku do świata rzeczy. W obrazie świata, jaki dają i dać mogą nauki filozoficzne nie mieści się osoba i dla opisu jej musimy według Sterna stworzyć nowe kategorie myślowe. Punkt wyjścia Sterna był bardzo bliski idealizmu, mimo jego wysiłków stanięcia poza idealizmem i materializmem (osoba jest „neutralna psycho-fizycznie").

Bardziej empiryczny i opisowy charakter pojęcie osobowości przybrało w naukach, które nie będąc psychologią w klasycznym znaczeniu, musiały zająć się uporządkowaniem naszej wiedzy o człowieku pod naciskiem praktycznych potrzeb: psychiatrii i pedagogice. Jako próba opisu na użytek klinik i instytucji wychowawczych pojęcie osobowości stało się bardzo użytecznym i trudno sobie wyobrazić dzisiejszego psychiatrę, który by w opisie schorzeń psychicznych mógł zrezygnować z tego podstawowego pojęcia. Nie jest ono tutaj jednoznaczne ani z pojęciem „duszy" ani nawet „świadomości"; rozumie się przez osobowość po prostu pewną formę gospodarki psychofizycznej człowieka własnymi siłami, wśród których jest świadomość — ale także pewne kompleksy nieświadome. Nie można nic zarzucić z punktu widzenia poprawności naukowej takiemu pojmowaniu; i tylko głęboka ignorancja niektórych publicystów i popularyzatorów może mieszać do kupy tak bardzo różne znaczenia.

Natomiast można mieć zastrzeżenia przeciwko przesuwaniu znaczenia osobowości w kierunku samoistnego, odrębnego bytu. W państwie przyrody rządzonej przez stałe prawa osobowości stanowiłyby punkty wyjątkowe; jakby monady, posiadające własny wewnętrzny ruch i rozwój, niezależny nietylko od praw przyrody, ale i od stawania się społecznego. W stosunku bowiem do bytu społecznego monady te byłyby raczej przyczynami sprawczymi, niż egzystencjami wtórnymi, rozwiniętymi na podłożu kultury i stosunków społecznych. Na tym tle zrozumiałą staje się koncepcja prymatu wychowania: ulepszyć społeczeństwo znaczyłoby udoskonalić najpierw jednostkę; wychowanie polegałoby na daniu jej warunków pedagogicznych, które by wyzwalały pełny, nieskrępowany rozwój osobowości — monady. Wychowanie byłoby w istocie niezakłóconym samorozwojem. Tradycje kulturowe i stosunki społeczne byłyby, jak we formule Roussa, raczej czynnikiem zakłócającym i psującym to, co z natury, wychodząc z ręki Stwórcy wszechrzeczy, nosi w sobie zadatki doskonałości. W stosunku do wszelkich czynników społecznych wychowanie urastałoby do znaczenia autonomicznego procesu, którego stróżem i kapłanem byłby wychowawca.

Rolą jego nie byłoby torowanie jednostce dróg do społeczności, lecz jakby uchowanie świętego ognia, zamkniętego w naczyniu duszy.

Można by uważać ten cały zespół poglądów jako pan-pedagogizm; nietrudno dostrzec jego pokrewieństwo z religijną koncepcją i z filozofią „natury ludzkiej".

*

Pojęcie osobowości krzyżuje się z pojęciem indywidualności; obydwa też mają podobną historię. Dopóki przez indywidualność rozumiemy swoisty zespół cech, charakteryzujących daną jednostkę w odróżnieniu od innych, jesteśmy w granicach psychologii różnicowej i z punktu poprawności naukowej nie można mieć zastrzeżeń przeciwko używaniu tego pojęcia w pedagogice, medycynie czy gdzie indziej. Pole do wyobraźni rozszerza się natomiast bez granic, gdy pojęcie indywidualności łączymy z osobowością w metafizycznym znaczeniu. Indywidualność wówczas staje się tym samym w istocie co osobowość z tym tylko uzupełnieniem, że kładziemy nacisk na jedyną, niepowtarzalną, głęboką oryginalność każdej jednostki. Wydobyć tę głęboką oryginalność — rozwinąć wszystkie możliwości jednostki — byłoby zadaniem wychowania. Z tą formułą wychowania spotykamy się bardzo często: jedni pojmują ją głębiej, w całej rozległości jej rozgałęzień filozoficznych, społecznych i pedagogicznych, z jej różnorodnymi konsekwencjami praktycznymi (jak Froebél), inni — co zachodzi najczęściej, powtarzają ją jako łatwy i efektowny frazes, tanią i pospolitą pedagogikę.

Mistyka indywidualności ma nieprzeparty urok dla wielu ludzi. Ci są jednak niedostępni dla argumentów racjonalizmu, ponieważ źródła ich doświadczeń leżą poza obrębem świadomości racjonalnej; ich potrzeba duchowa jest prawdopodobnie zbliżona do potrzeb religijnych i tkwi raczej w sferze uczuć. K. G. Jung zwrócił uwagę na istnienie typów introwertywnych, skłonnych do kontemplacji i skierowanych „na wewnątrz"; być może, że pod wpływem różnych urazów i niepowodzeń w walce życiowej, w starciu się z rzeczywistością, typy takie cofają się w siebie i rozwijają mistykę indywidualności: „in interiori homine habitat veritas". W okresie wojny trzydziestoletniej szczególnie bujnie rozkwitła w Niemczech, przede wszystkim na Śląsku ta mistyka, w której introwertywne dążności splątają się z panteizmem religijno - mistycznym; wśród tej grupy najbardziej znanym stał się Jan Scheffler z Wrocławia (1624—1677) świetny poeta, piszący pod pseudonimem Angelus Silesius. Ulegał jego wpływom jeszcze Mickiewicz, u którego okresy wybuchowej, ekstrawertywnej działalności przeplatały się w okresie introwertywnego zamknięcia się w sobie, w „człowieku wewnętrznym".

Zbadanie źródeł mistyki indywidualności jest samo w sobie bardzo ciekawym zagadnieniem naukowym; nie ma tu miejsca na bliższe rozważanie tych rzeczy. Według mego przeświadczenia powstaje ona w warunkach niepomyślnego psychologicznie rozwiązania zagadnienia życiowego. Życie normalne jest walką; wymaga ona z jednej strony pewnego napięcia, pewnej ustawicznej mobilizacji sił życiowych; z drugiej strony okoliczności i ambicje stawiać mogą przed jednostką zadania, które mogą okazać się dla niej w pewnych razach za ciężkie; zależy to nie od bezwzględnej wartości zadania, lecz od wzajemnego stosunku zadania życiowego i tonusu (napięcia sił życiowych) jednostki. Niepowodzenia, które mogą wyniknąć albo z nadmiernych ambicji, albo z obniżenia się tonusu (wskutek choroby lub starzenia się), jeżeli natrafiają na podatny grunt introwertywny u danego osobnika, wywołują jako reakcję — zamknięcie się w kręgu spraw „wewnętrznych", mistyki indywidualności. Człowiek zrównoważony normalnie walczy z przeciwieństwami i walczy o realizację pewnych rzeczy; człowiek o chybionej równowadze *redukuje płaszczyzny starcia z rzeczywistością* i cofa się „in interiorum hominem". Jest to kompensacja nieudanego rozwiązania problemu życiowego. Mickiewiczowski podział życia na okresy: szczęśliwego dzieciństwa, młodości („górnej i durnej") i wieku męskiego jako „wieku klęski", świadczą o bardzo silnych walkach wewnętrznych, z których zresztą poeta wyszedł wspaniale: mimo okresów załamań jest to jednostka o bardzo wysokim stopniu dzielności i odwagi życiowej.

Rzeczywistość występuje przed człowiekiem przede wszystkim jako rzeczywistość ludzka: problem życiowy kształtuje się jako konieczność uregulowania stosunku do innych ludzi i do świata społecznego; w drugim rzędzie dopiero jako zagadnienie kosmiczne. Rozwój osobowości przebiega przez następujące fazy: dzieciństwo jako okres wrastania z grupą *„swoich"* (rodzinną); w drugiej fazie występuje człowiek *„obcy"* i uregulowanie stosunku do niego; w trzeciej i ostatniej fazie — wrastanie w świat *coraz szerszych tworów społecznych;* praktycznie jest to już pole nieograniczone dla ekspansji. W razie nieudania się regulacji na jakimkolwiek stopniu, dalsze wrastanie w rzeczywistość społeczną ulega zahamowaniu i trudnościom. Nieudanie się rozwiązania tego stosunku oznacza zawsze pewnego rodzaju klęskę (jakkolwiek z tej klęski mogą wyrastać wysokiej wartości utwory liryczne przejawiające się w postaci dzieł sztuki, filozofii lub mistyki religijnej); w żadnym razie jednak mistyka indywidualności nie powinna stawać się programem społecznym, ani pedagogicznym. Owoce cierpienia nie muszą wyrastać na wszystkich drzewach.

*

Program „pełnego, nieskrępowanego rozwoju indywidualności" jest jeszcze z wielu powodów złudny.

Rozwój zawiązków, z którymi jednostka przychodzi na świat, odbywa się przede wszystkim w świecie faktów społecznych i polega na stopniowym *wzbogaceniu i różnicowaniu styczności* z potrójną rzeczywistością: *innych ludzi*, obiektywnych *wytworów* kultury odziedziczonej (tradycji kulturowej) oraz *grup społecznych* coraz szerszych, coraz trudniej uchwytnych, coraz mniej bezpośrednio danych (wrastanie w gromadę wiejską a wrastanie w społeczność państwową). *Innej drogi przed jednostką w ogóle nie ma.* Wszystko inne jest albo otwartą klęską albo maskowaniem jej przy pomocy rozmaitych fikcji. Nawet gdy jednostka wyosabnia się i zamyka w kręgu spraw pozornie „wewnętrznych" żyje ona nietylko wydając gotowy kapitał rzeczy społecznych, w którego pomnażaniu odmawia swego aktywnego udziału. Jest to więc zawsze połączone z pewnego rodzaju fałszem wewnętrznym.

Rozwijając się normalnie w stosunku do trzech wymienionych rodzajów rzeczywistości społecznej, człowiek buduje sobie własną formę życiową; jest to wszystko co rzeczywiście posiada. Jego stopienie się z rzeczą społeczną jest jedyną miarą jego rozwoju w ogóle.

Stopniowe utożsamianie się interesu z coraz rozleglejszymi kręgami rzeczywistości społecznej prowadzi jednak nie tylko do *samookreślenia* jednostki, lecz także do ustalania się pewnych *granic*, a tym samym do przekreślania pewnych możliwości rozwojowych. Można próbować wielu dróg, ale nie można iść wszystkimi drogami. Jeśli jednostka ma być aktywną i produktywną, wszystko jedno w jakim zakresie, musi pośród wielu naszkicowanych w niej niejako dróg dokonywać wyboru, musi twardo rezygnować z niektórych. To jest właśnie warunkiem jej rzeczywistego wrastania w coś co jest poza nią, to jest właśnie rozwój. Pielęgnowanie wszystkich możliwości jednostki, gdyby nawet było skuteczne, prowadziłoby nie tyle do rozwoju, co do dyletantyzmu i powierzchowności, do jakiegoś encyklopedyzmu pozbawionego wszelkiej struktury i formy. Struktura osobowości Chopina jest głęboko różna od struktury życiowej boksera Schmellinga; nie stać nas jako jednostek na kultywowanie wielu struktur naraz, które w dodatku hamowałby mogły i paraliżować wzajemnie. Wyhodowanie bowiem każdej jednolitej struktury osobowej wymaga ze strony jednostki twardej dyscypliny, samoograniczania, hierarchii zainteresowań, świadomego, ascetycznego wysiłku; a to pochłania siły jej całkowicie.

Pod względem społecznego znaczenia wzór rozwojowy dyletanta, usiłującego iść wszystkimi drogami, pielęgnującego swoje cenne „ja" wyrósł w warunkach pasożytowania społecznego, jest to w najlepszym razie ideał klasy nasyconej, niepracującej, nieproduktywnej społecznie.

*) Fragment dłuższej całości.

„Pełny rozwój indywidualności" jako postulat powszechny nie ma sensu, zakłada on istnienie jakiejś próżni historycznej: rozwoju w sobie poza czasem i miejscem. W istocie każdorazowe granice i formy rozwoju jednostki są wyznaczone przez obiektywne czynniki, stanowiące sytuację historyczną danego pokolenia wśród danej społeczności, w danym kręgu cywilizacyjnym.

W istniejących warunkach ustroju wszechstronny rozwój jest luksusem, na który pozwoliłby sobie mogli tylko nieliczni. Olbrzymia masa społeczna jest praktycznie odsunięta (w najbardziej nawet liberalnych demokracjach) nie tylko od możliwości wszechstronnego rozwoju, ale nawet od najprostszego, całkowicie realnego w obecnych historycznych warunkach, udziału w cywilizacji. Mam w oczach postać robotnika-kanalarza, którego spotkałem przed wojną w szkole społecznej TUR-u, był to człowiek pracujący na ulicach miasta przez noc, powracający nad ranem do odległej o kilkanaście kilometrów wioski, gdzie rodzina jego miała samą chałupę bez gruntu; jaką wizję cywilizacji mógł mieć ten człowiek, żyjący nocą wśród opustoszałych ulic? Jakież warunki rozwoju mógł mieć prowadząc życie gorsze niż jaskiniowiec? A jednak ten człowiek garnął się do naszych zebrań dyskusyjnych i w swoim trudnym, nieporadnym języku mówił o sobie, o ciężkiej drodze życiowej, o potrzebach życia bardziej ludzkiego. Jakże wyglądałyby możliwości rozwojowe społeczeństwa, które by na uboczu pozostawiało sprawę szans dla milionów takich istnień a wzamian za to pielęgnowałoby ideały „pełnego rozwoju" dla nielicznych dyletantów z uprzywilejowanych klas? Szanse rozwoju przez udział w kulturze są tak samo *dobrem*, jak każde inne dobro i sprawa ich sprawiedliwego rozdziału jest wielką ideą społeczną. Jeżeli marksizm podejmuje walkę o sprawiedliwość społeczną pod każdym względem, to jest on bliższy prawdziwej trosce o człowieka, niż doktryna personalizmu, wystawiająca maksymalne hasła, a rezygnująca ze stosowania środków do urzeczywistnienia minimalnego, ale obowiązującego moralnie programu. Uniwersalność jest cechą wszelkiej istotnej moralności; dlatego też społeczeństwo bezklasowe, wyrównujące szanse dla wszystkich, powinno być celem dążeń każdego, kto do moralności społecznej i troski o człowieka się odwołuje. A ponieważ doświadczenie historyczne uczy, że żadna grupa uprzywilejowana nie rezygnuje dobrowolnie ze swego stanu posiadania, przeto żadne wychowanie, żadna perswazja *nie są w stanie ulepszyć warunków zbiorowego istnienia;* może to uczynić jedynie stosowna polityka.

Nie można polepszyć duchowo człowieka, nie zapewniwszy mu przed tym minimum warunków materialnych egzystencji.

Wszelkie polepszenie bytu materialnego i duchowego jednostki musi być wynikiem *powszechnego* zabezpieczenia; każda inna forma zabezpieczenia się jest aspołeczna.

Jednostka degraduje się duchowo, gdy wycofuje się z walki o lepszy ustrój; udoskonala się, gdy bierze w niej udział.

Zygmunt Mysłakowski

JULIUSZ ŻUŁAWSKI

TRZECI SEZON TEATRALNY W ŁODZI

2 : 1

DWA NA JEDEN — to w sumie trzy. Trzy poważne łódzkie teatry. A więc przede wszystkim Państwowy Teatr Wojska Polskiego pod kierownictwem Leona Schillera. Obok Teatr Powszechny — również pod kierownictwem Schillera, dotychczas artystycznym, obecnie także i administracyjnym. Zatym wszystkie widowiska teatralne, jakie oglądaliśmy i oglądamy na obu scenach — w ostatecznym rozrachunku temu samemu kierownictwu przysparzają dobrej i złej sławy. Podkreślamy to nie dlatego, aby wstąpić po tych słowach na piedestał i ferować wyroki. Naprawdę do takiej roli nie pretendujemy. Jednak zrozumiałe zainteresowanie jakością widowisk i sprawami polityki teatralnej skłania nas do rozważenia stanu rzeczy, na temat którego tyle sprzecznych sądów, tyle uzasadnionych zachwytów i tyle uzasadnionych pretensji.

Tymczasem — wymieniwszy oto obydwa teatry Schillera — wymieniamy jeszcze jeden, trzeci teatr łódzki,o którym tu będzie mowa zarówno z racji niedawnej premiery jak i ze względu na temat naszych rozważań ogólnych. Jest to Kameralny Teatr Domu Żołnierza pod kierownictwem Erwina Axera. Teatr, któremu — w obliczu jaśniejącej obok gwiazdy Schillera — stawiało się siłą rzeczy wymagania mniejsze, niż teatrom schillerowskim i wokół którego nigdy nie rozdmuchiwano nadmiernej reklamy. A tymczasem teatr ten od dawna już daje powody do coraz baczniejszej uwagi.

KREDYT I WIELKIE ZAMIARY

Dzięki swoim wielkim talentom, dzięki znanej już od dziesiątków lat rozległej wiedzy teatralnej i dzięki swej postępowej postawie polityczno - społecznej — spotkał się Schiller w swych nowych po wojnie zamierzeniach teatralnych z pełnym wśród publiczności kredytem. Wierzono, że kto jak kto, ale właśnie przedewszystkim Schiller zrealizuje wielki program teatru na wysokim poziomie artystycznym i o mocnych walorach wychowawczych jednocześnie. Powtarzam: spodziewano się teatru dużej miary i pod względem artystycznym i pod względem wychowawczym. Pod działaniem tej atmosfery zaufania, porwani tym przyjaznym klimatem — niejednokrotnie w wypowiedziach naszych dopatrywaliśmy się par force zarysów konsekwentnego programu, przemyślanej polityki teatralnej mimo to, że się ona co chwila rażąco załamywała. Oddawaliśmy może nawet w ten sposób złą przysługę kierownictwu tych obu teatrów, usiłując wbrew rzeczywistości widzieć na ich scenach więcej, niż te sceny były w możności dać.

Z drugiej strony jednak — niezależnie od sumarycznego rezultatu dotychczasowej działalności obu teatrów — jesteśmy dalecy od pomniejszania naszego uznania i szacunku dla dobrej woli, dobrych chęci i szlachetnej postawy społecznej kierownictwa. Z tą postawą nieraz mogliśmy się zapoznać z okazji niektórych pozycji repertuarowych, a przedewszystkim z okazji programowych wypowiedzi samego Schillera.

Wypowiedzi te na pewno pięknie i porywająco inspirują naszą wyobraźnię w kierunku uchwycenia wizji wielkiego „Teatru Ludowego", wspaniałego pod względem artystycznym i wychowawczym, gdy czytamy takie naprzykład obietnice:

„Pokażemy zaciekawionym złośliwcom budynek teatralny, jakiego jeszcze nie było, w nim amfiteatr funkcionalnie połączony z proscenium i ze sceną: wszystko ruchome, zależnie od potrzeb zmieniające swój układ, przy pomocy maszynerii, jakiej jeszcze nie było i zagramy widowisko monumentalne, o takiej treści i w takiej formie aktorskiej, jakiej jeszcze nie było — dla publiczności, jakiej jeszcze nie było: szukającej w teatrze prócz wytchnienia po pracy — silnych i głębokich przeżyć oraz wynikającego z nich pożytku moralnego" (ustęp z prelekcji inauguracyjnej, zatytułowanej „Teatr Demokracji Ludowej", wygłoszonej w dniu 5. X. 1947. w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej, ogłoszonej drukiem w nr. 2 (10) czasopisma „Łódź Teatralna").

Jednakże — choć wizja ta nas szczerze olśniewa i cenimy w niej dynamikę zamiarów — wydaje się nam taka wypowiedź trochę nazbyt daleką od wymagań dnia bieżącego, od pilnych praktycznych zadań, jakie teatrom stawia dzisiejsza i dzisiejszymi warunkami określona sytuacja społeczna, polityczna i kulturalna. Nie chcemy przypuszczać, że rysowanie takiej to wizji w obłokach ma na celu odwrócenie uwagi od obecnego stanu rzeczy, lub usprawiedliwianie obecnych niedociągnięć. Przecież człowiek, który buduje tak interesujące koncepcje na przyszłość, równocześnie wie dobrze, że i bez „maszynerii, jakiej jeszcze nie było" można tak planować repertuar i w taki sposób go realizować, aby teatr spełniał w stosunku do szerokiej publiczności swoją odpowiedzialną rolę wychowawczą i artystyczną.

POLITYKA TEATRALNA W OKRUCHACH.

Linia polityki teatralnej, którą poprzez działalność obu teatrów na przestrzeni ubiegłego sezonu aż do chwili obecnej staraliśmy się zawsze z najlepszą wolą odcyfrować — i pod względem artystycznym i pod względem wychowawczym załamuje się co chwila, pozostawiając w rezultacie tylko wielkie okruchy bardzo różnych koncepcji i planów. Bo najlepsze pozycje są jakgdyby eksperymentalnymi wypadami w zbyt rozmaitych kierunkach, aby ich oddziaływanie mogło się sumować. Ponadto z uporem przy każdej okazji podkreślamy, że słowa „wychowawczy" i „artystyczny" tylko ze względów gramatycznych pisze się osobno. Te słowa w teatrze — jak i w literaturze, jak i w każdej sztuce — są nierozdzielne. Znaczy to, że teatr — źle wystawiając utwór, który mógłby kształcić, nie wypełnia swego wychowawczego zadania. I na odwrót — z takim samym rezultatem. Stąd załamania w działalności obu teatrów tym częstsze.

Nie sumujące się z punktu widzenia ogólnej działalności „okruchy" różnorakich koncepcji są mimo to same w sobie wielkie i wyraziste. Tyle, że nic wspólnego nawzajem ze sobą nie mają. „Stary Dworek" — źle zagrana sztuka polityczna. „Krakowiacy i Górale" — przepiękny i monumentalnie zbudowany „wodewil" ludowy, któremu komentarz polityczny politycznego znaczenia dla współczesnej widowni nadać nie zdołał. „Celestyna" — świetne widowisko, pełne uroków, płynących ze średniowiecznego misterium. Wreszcie „Burza" — niezwykle interesująco zrobiona pod względem scenograficznym...

Wszystko to na tle pozostałych widowisk, które przeminęły bez większego znaczenia: klasyków komedii polskiej wystawiano przeważnie niedbale, pokazano trochę sztuk zupełnie marnych, w czym celował szczególnie Teatr Powszechny, może jedynie „Szczęście Frania" wyróżniało się nieco w tej szarzyźnie dzięki swym historyczno-społecznym aspektom.

Wspaniałość takich pozycji jak „Krakowiacy i Górale", „Celestyna", czy „Burza" jest zresztą — nie możemy tego przy okazji pominąć — zasługą również paru znakomicie obsadzonych ról i imponujących rozwiązań dekoracyjnych, najlepszych jakie się kiedykolwiek w Polsce widywało. Ale chodzi nam tu przecież o co innego. O oblicze teatru, o konsekwentną politykę teatralną, a tego — mimo poszczególnych, ale w powietrzu wiszących pozycji, mimo przebijających przez te pozycje ale nieskoordynowanych najlepszych chęci — tego teatrom Schillera, obciążonych naszą szczególną uwagą i szczególnymi wymaganiami, brakuje. Czy rzeczywiście trzeba będzie czekać dopiero na „maszynerię, jakiej jeszcze nie było" —?

REZULTATY BEZ ZAPOWIEDZI.

Teatr Kameralny wystartował bez tych zobowiązujących obciążeń, a więc w sytuacji łatwiejszej. Ale zato w nader szczupłych granicach możliwości materialnych. Zrazu przeważały też pozycje wręcz słabe lub zbyt kokieteryjne. Robił wrażenie teatru raczej eksperymentalnego (on właśnie!), działającego bez specjalnego planu wyraźnej polityki teatralnej. Uważaliśmy go nawet za teatr wyłącznie estetyzujący i tak też pisaliśmy o nim.

Teraz — wstecz — jesteśmy zmuszeni zrewidować nasze sądy. Teatr ten ma dziś w dorobku szereg pozycji, które świadczą o bardzo konsekwentnie realizowanej linji. Nie jest to linja estetyzmu. Jest to linja interesujących problemów historyczno-społecznych, spełniająca ważne zadanie wychowawcze poprzez wysoki naogół poziom artystyczny widowisk, poziom coraz lepszy dzięki dobrze dobranemu i coraz lepiej prezentującemu się zespołowi.

Nie mówimy tego wszystkiego na kredyt. Wymieniamy osiągnięte już pozycje, które stanowią dla publiczności linję konsekwentną i celową: „Major Barbara" — formowanie faszyzmu przez wielki kapitał, „Miasto w Dolinie" — układ społeczny w Anglii i postawa angielskiego socjalizmu, „Szklana Menażeria" — narodziny imperializmu z rozpadających się form życia mieszczańskiego, wreszcie chociażby „Produkcja Pana Brandta" z aktualnymi sprawami rewolucji przemysłowej w Polsce. Podkreślamy tu celowo oczywiście tylko historyczno-społeczne i polityczne aspekty tych sztuk. Ani G. B. Shaw, ani Pristley, ani Willams — nie piszą „agitek". Ale pozycje takie świadczą o nie lekkomyślnym doborze repertuaru przy jednoczesnej dbałości o poziom artystyczny utworów.

I nie twierdzimy, że to jest akurat linia repertuarowa jedyna i najlepsza. Chodzi nam o to, że jest konsekwentną linią właśnie, spełniającą w coraz poważniejszym stopniu swoje zadania jednocześnie i społeczno-polityczne i artystyczne.

Można przyjąć i inną linię w teatrze dzisiejszym, jeśli ma być kształcący. Można wychowywać na klasykach. Ale trzeba ich bardzo dobrze pokazywać. Lepiej niż to robi Teatr Powszechny Schillera.

NA GORĄCYM UCZYNKU.

I oto na rozpoczęcie nowego sezonu teatralnego — trzy premiery! Dwa teatry Schillera wystawiają „Zagadnienie Rosyjskie" Simonowa i klasyczną komedię Zabłockiego „Fircyk w zalotach". Teatr Kameralny wystawia Giraudoux „Amfitrion 38".

Na pierwszy rzut oka — pozycje jaknajlepiej świadczące o życiu teatralnym Łodzi. W rzeczywistości jednak — niemal pełne potwierdzenie naszych dotychczasowych uwag.

Ze strony Teatru Wojska Polskiego — po „Celestynie" i „Burzy" — wolta w kierunku współczesnej sztuki politycznej. Sztuka jest pod względem publicystycznym interesująca i przejmująca. Ale po „Celestynie" czy „Krakowiakach i Góralach" — jakiż zadziwiający spadek troskliwości reżyserskiej! Cały możliwy pożytek z wystawienia tej sztuki — jeżeli wogóle trafnie ze współczesnej literatury radzieckiej wybrana — zostaje tu pogrzebany przez potraktowanie jej i zagranie w sposób nieprzemyślany i niebaczny.

Uroczą klasyczną komedię polską XVIII-ego wieku wystawia Teatr Powszechny. Przyzwyczajono nas już do tego, jak się na ogół gra sztuki w Teatrze Powszechnym. Ale wyznać musimy, że takiego skandalu jeszcześmy nie widzieli w teatrze zawodowym. Sztuka, która mogłaby kształcić w poznaniu historii naszej klasycznej literatury dramatycznej — pokazana została tu tak, że nawet w tym samym teatrze grana „Profesja Pani Warren", kiedy to aktorzy przewracali się na scenie poprzez byle jak rozstawione krzesła, nie bije już rekordu. Nie mówiąc nawet o tym, że komedia Zabłockiego, reprezentując styl epoki, zasługiwała na uważniejsze potraktowanie ze strony reżyserów, niż „Profesja Pani Warren".

I równocześnie Teatr Kameralny robi z „Amfitriona 38" przepiękne widowisko. Sztuka ta, nie wspierając się wprawdzie o żaden z poważniejszych problemów społecznych, jest przecież zjadliwym i celnym atakiem na wszelkie mistyki religijne, wskazuje na ich niedorzeczności w obronie racjonalizmu i humanizmu człowieka. Na scenie Teatru Kameralnego ze sztuki tej — sztuki lekkiej i dowcipnej—wydobyto cały jej urok artystyczny i cały jej sens intelektualny jednocześnie.

Te wszystkie trzy premiery zbiegły się ze sobą, może każdy te trzy widowiska w ciągu trzech kolejnych wieczorów obejrzeć i porównać. Schwytaliśmy życie teatralne Łodzi na gorącym uczynku.

„ZAGADNIENIE ROSYJSKIE"

Nie podoba nam się sposób wystawienia „Zagadnienia rosyjskiego". Dlaczegóż to? Sztuka Simonowa porusza sprawę niezmiernie ważną i aktualną, sprawę, która wszystkich nas dziś niepokoi. Gwałtowna i kłamliwa propaganda anty-radziecka kapitalistycznych kół w Stanach Zjednoczonych zdradza imperialistyczne cele tych kół, ukryte pod płaszczykiem „Obrony przed agresywnym komunizmem". Autor trafnie wskazuje, jak to w prasie amerykańskiej za dolary fabrykuje się kłamstwa o Związku Radzieckim. Tak to sobie i my wyobrażamy. I my wiemy o tym. Ale jednocześnie autor — chcąc pokazać „dwie Ameryki", mianowicie politycznych łajdaków, a z drugiej strony ludzi uczciwych lub uczciwie myślących lecz przekupionych — nie zupełnie trafnie buduje sylwetki psychiczne Amerykan, osłabiając artystyczne wrażenie swej wypowiedzi, wypowiedzi publicystycznie prawdziwej i słusznej.

Reżyser i aktorzy poszli po drodze możliwie najgorszej. Podkreślili i wyolbrzymili ten właśnie niedostatek, bez żadnej potrzeby czyniąc z tych „uczciwych" czy też z tych „przekupionych" typów dziennikarzy amerykańskich jakieś nihilistyczne postacie nałogowych pijaków lub rozpaczających straceńców, jakieś postacie żywcem przeniesione z Dostojewskiego. To wina nieprzemyślenia sprawy przez teatr. Nie wolno było robić tego w ten sposób.

Łapiński jako Macpherson i Żukowski jak Goold są mniej więcej na swoim miejscu, ale zapijaczony Hardy Węgrzyna chociaż świetnie zagrany, ale zalewający robaka Morphi Pietraszkiewicza, ale histerycznie co chwila łkający Smiht Świderskiego — są już zupełnie absurdalni.

Sztuka ucierpiała przez pokazanie jej w taki sposób. Sugestywność zagadnienia została osłabiona. Bo widowisko źle zrobione traci moc oddziaływania.

„FIRCYK W ZALOTACH"

Sztuka, tak pouczająca o literaturze komediowej epoki i tak pokazująca styl życia i myśli epoki, musi mieć ten swój styl na scenie. Bez dobrego zorganizowania i zagrania, któreby rzeczywiście pozwalało publiczności ten styl epoki uchwycić — widowisko staje się nieporozumieniem, stratą czasu, głupstwem.

Poza Wilamowskim w roli Arysta, który swą grą jedyny tkwi w atmosferze właściwego stylu, reszta aktorów gra w sposób nie tylko zupełnie rożnorodny i nie trafny, ale niekiedy wręcz niedołężny z samym Fircykiem na czele, któremu się zdaje, że najlepiej zobrazuje styl epoki, jeżeli demonstrować będzie co chwila szaleńczy „taniec brzucha". W tym stanie rzeczy sam tekst Zabłockiego — choćby nawet poprawnie mówiony — fałszywie zobrazowanego widowiska nie może ocalić.

Czy więc ta pozycja w działalności teatru spełnia swoje zadanie- Nie spełnia. Bo widowisko źle zrobione traci moc kształcenia.

„Zagadnienie Rosyjskie" Simonowa. Od lewej: Jan Świderski, Józef Maliszewski i Leon Pietraszkiewicz.
Fot. St. Brzozowski i J. Malarski.

„Fircyk w zalotach" Zabłockiego. Od lewej: T. Waśkowska, J. Kaliszewski i K. Wilamowski.
Fot. St. Brzozowski i J. Malarski.

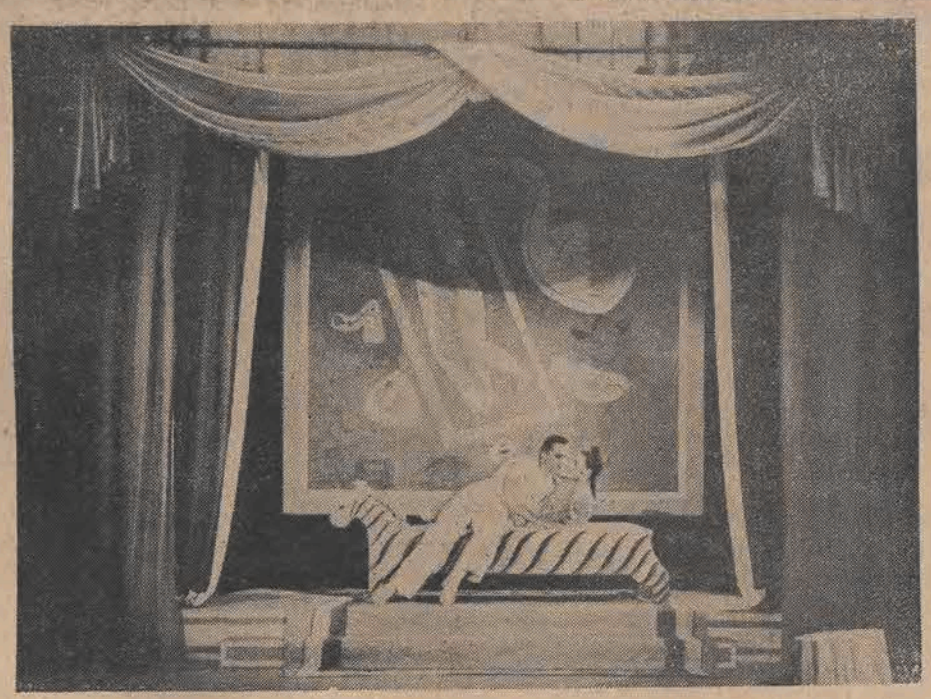

Jean Giraudoux „Amfitrion 38". Alkmena — Danuta Szaflarska, Jerzy Duszyński — Amfitrion. Dekoracje Władysława Daszewskiego.
Fot. Frankfurt.

„Fircyk w zalotach" Zabłockiego. Scena z baletu ukł. B. Fijewskiej.
Fot. St. Brzozowski i J. Malarski.

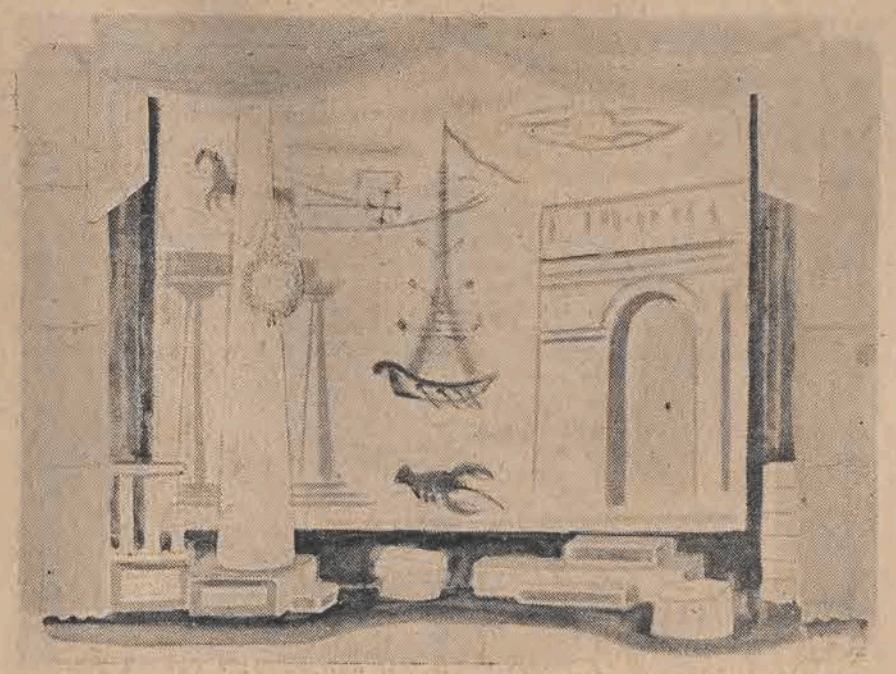

Władysław Daszewski — projekt dekoracji do aktu I.

„AMFITRION 38"

Świetne dekoracje i kostiumy Daszewskiego, dobrze i jednolicie zmontowana gra zespołowa, właściwe potraktowanie lekkiego i dowcipnego tekstu w głosach aktorów — wszystko to odrazu stanowi o podaniu sztuki w sposób interesujący. Znaczenia samej sztuki nie mamy zamiaru przeceniać. Jak powiedzieliśmy już, nie opiera się ona o zagadnienia tak ciekawe pod względem historyczno - społecznym, jak inne wymienione pozycje tego teatru. Jednak poprzez swoje sprawy ludzkoboskie, potraktowane od strony wyraźnie humanistycznej dotyka satyrą pewnej bardzo aktualnej dziedziny życia społecznego i zarówno dzieki temu jak i swym dobrym poziomem artystycznym utrzymuje się całkowcie na linii, obranej przez ten pożyteczny teatr.

Coraz mocniejszą podstawą tego teartu jest dobry zespół aktorski. W „Amfitrionie 38" poszczególne role grane są doskonale. Szaflarska, Łabuńska, Buczyńska, Woszczerowicz, Duszyński, Mikołajewski, Tatarski Bugajski, — wszyscy przyczyniają się w sposób widoczny do sukcesu sztuki. W rezultacie widowisko to — ciekawe w swym satyrycznym podejściu do spraw mistycznych i w swym rozwiązaniu, a przy tym dobrze zrobione — jest pozycją na pewno pożyteczną.

SZUKAJCIE A ZNAJDZIECIE

W wypowiedziach Schillera przebija skarga na brak literatury dramatycznej dla potrzeb dzisiejszego teatru. Zgadzamy się, że szkicowane nam interesujące wizje przyszłości wymagać będą szczególnej współpracy pisarzy. Teatr zawsze potrzebuje współpracy pisarzy.

W cytowanej już prelekcji Schillera czytamy: „W którąkolwiek zwrócimy się stronę, znajdujemy kopalnie nieograne tematyki i problematyki nieprzegadanej. Niech tylko sięgną po nie pisarze, pretendujący do tytułu pisarzy ludowych, niech, w razie potrzeby, wezmą do pomocy historyków, socjologów, ekonomistów i aktywnych społeczników, a powstanie w rychłym czasie nowa literatura dramatyczna, na którą czekają społecznie myślące teatry, która na pewno bardziej przypadnie do smaku masom nowej, czasem zupełnie nowej publiczności, niż wciąż na tym samym, stygnącym już, ogniu estetyzmu odgrzewane plody dawniejszej i nowszej fikcji literackiej".

Wszystko to jest zupełnie słuszne. O nowej literaturze i jej celach myślimy bardzo podobnie. I doceniamy wartość i sens postulowania. Ale oprócz postulatów istnieje rzeczywistość bieżąca, z którą trzeba sobie radzić w myśl postulatów społecznych, kulturalnych i politycznych właśnie.

I twiedzimy tylko — opierając się choćby na przykładzie Teatru Kameralnego — że w rzeczywistości tej teatr Schillera, mając za sobą tak znakomite, ale rozbieżne, nie sumujące się pozycje, mógłby bardziej wyraziste oblicze i bardziej wyrazistą linię działania znaleźć, gdyby się o to trochę praktyczniej postarał.

Juliusz Żuławski

Jean Giraudoux „Amfitrion 38". Adam Mikołajewski — Jowisz, Jacek Woszczerowicz — Merkury.
Fot. Frankfurt.

ANDRZEJ KRUCZKOWSKI

PLAN MARSHALLA W DAWNYCH LATACH (II) *)

PO PRZEGRANEJ wojnie 1870 roku Francja musiała zapłacić Niemcom kontrybucję w wysokości 5 miliardów franków. Eksperci uważali tę cyfrę za astronomiczną i nierealną. Premier Thiers oświadczył Bismarckowi: „Generałowie a nie finansiści musieli Panu zasugerować tę cyfrę" (cyt. wg. E. Mantoux).

Ale Francja zapłaciła mimo to co do grosza. Jej bilans handlowy, pasywny do roku 1870, już w 1872 osiągnął nadwyżkę 211 milionów franków, w 1873 — 274 milionów, w 1874 — 232 milionów, w 1875 — 383 milionów. W ciągu czterech lat z rezerw finansowych i nadwyżek eksportowych (osiągniętych mimo utraty Alzacji i Lotaryngii) zapłacono kontrybucję. Natychmiast po jej spłacie bilans handlowy znowu stał się pasywny, osiągając w roku 1876 — 357 milionów nadwyżki importu nad eksportem.

Niemiecki bilans handlowy w okresie realizacji Planu Dawesa (1924 — 1930) był stale pasywny. Ani Skarb, ani przemysł ani handel niemiecki nie zadały sobie trudu, żeby spłacać Reparacje przy pomocy wzmożonego eksportu. Niemcy nie widzieli celu wzmagania wysiłków eksportowych skoro ich zagraniczne długi pokrywane były z nadwyżką zagranicznymi pożyczkami. W roku 1924 bilans handlowy wykazywał saldo ujemne w wysokości 1848 milionów marek, w 1925 — 2.362 milionów, w 1927 — 2890 milionów, a gwałtownie się poprawił dopiero... w czasie głębokiego kryzysu światowego, kiedy najtrudniej było uplasować towar zagranicą, osiągając saldo dodatnie w wysokości 2.858 milionów marek w roku 1931. Skoro na skutek krachu na giełdach świata zaszła konieczność walki o eksport — Niemcy potrafiły ją wygrać.

Anglia, spiritus movens machinacyj antyreparacyjnych nie była sama w dobrej skórze. W swoim „Dzienniku" pisze G. Stresemann pod datą 19. VII. 1925: „... w ostatnich kilku tygodniach miały miejsce rozmowy między potentatami kapitału — Strongie, Montagu Normanem i Schachtem. Wydaje się, że jesteśmy w trakcie powstawania pewnego rodzaju Anglo - Amerykańsko - Niemieckiego Kartelu Kapitałowego — przyjmując oczywiście, że zostanie zawarty Pakt Bezpieczeństwa najpierw (druga strona medalu, czyli rola kapitału światowego przy podpisaniu Traktatu Locarneńskiego — również 1925 rok — znajduje w tych słowach Stresemanna znakomity komentarz — przyp. A. K.). Gwałtownie potrzebujemy tych miliardów. Fakt, że Amerykanie posiadają 18 miliardów złotych marek w skarbcu Federal Reserve Bank świadczy o tem, że w rzeczywistości Anglia przegrała tę wojnę na równi z nami".

Niewiele przesady było w tem powiedzeniu Stresemanna.

Anglia wyszła z wojny poprzedniej z długiem wobec Ameryki w wysokości 3.696 milionów dolarów (cyt. wg. „Sbornik Dokumentow" pod red. A. Jerusalimskiego i L. Iwanowa, z przedmową E. Wargi). Wprawdzie miała ona poważne należności, sięgające kwoty 6.432 milionów dolarów, z tej sumy jednak odpisano odrazu na straty długi carskiej Rosji, wynoszące 2.472 milionów dolarów, których rząd radziecki nie uznał. Reszta były to długi Francji (1.683 mil. dol.), Belgii (422 mil. dol.) i Włoch (1.855 mil. dol.), co do ściągalności których Anglicy mieli wielkie i uzasadnione wątpliwości. Jedynym wierzycielem Anglii były Stany Zjednoczone. Dłużnikami Anglii były natomiast państwa europejskie o zdezorganizowanych wojną finansach i pustych skarbcach. Międzyaliancki długi stworzyły sytuację bez wyjścia. „Zwycięska Francja — pisze z emfazą Keynes na stronie 260 „The Economic Consequenses of the Peace" — musi zapłacić swym przyjaciołom i Aliantom przeszło czterokrotnie więcej niż wyniosła kontrybucja, zapłacona Niemcom po klęsce 1870 roku".

Anglicy walczyli przeciw Reparacjom, ale i przeciw długom międzyaliackim, proponując powszechne wzajemne zrzeczenie się należności. Amerykanie byli temu przeciwni, gdyż „święta" zasada dotrzymywania zobowiązań była im — świeżo upieczonym bankierom świata — po nuworyszowsku droga.

Aczkolwiek Amerykanie nigdy oficjalnie nie przyznawali, że istnieje iunctim między sprawą długów wojennych a Reparacjami, w praktyce ingerowali coraz silniej w sprawy Reparacyj, było to bowiem jedyne źródło, z którego państwa europejskie mogły spłacać długi.

Największe jednak straty, które Anglia na skutek wojny poniosła to zredukowanie jej roli w handlu światowym. „Reparacje — rozumowali Anglicy w roku 1920 — to tani węgiel dla Francji, to zwiększenie konkurencyjności przemysłu francuskiego, to wreszcie dumpingowe ceny towarów niemieckich i utrata naszych rynków.

Anglia straciła jednak swe znaczenie handlowe nie na rzecz Niemiec i nie na rzecz Francji lecz Ameryki. Reparacje nie wiele miały z tym wspólnego. „W roku 1927 — pisze Lloyd George w książce „The Truth about Reparations" — handel światowy osiągnął 120% poziomu przedwojennnego, w tym czasie handel brytyjski doszedł jedynie do 83% swego przedwojennego poziomu".

Obawa przed utratą pozycyj w handlu światowym i zmora długów wojennych wzmagała nieustępliwość Anglików w sprawie Reparacyj. Niemiec Carl Bergman w książce „The History of Reparations" pisze z okazji omawiania prac konferencji Genewskiej (kwiecień 1922), że „zasadnicze porozumienie w sprawie Reparacyj nie mogło być osiągnięte, dopóki sprawa długów międzyaliancklch była w zawieszeniu. „Tę samą opinię wyraża E. Benesz („Les Problemes de Reparations") pisząc: „Zasada podstawowa polityki Aliantów w sprawie Reparacyj to zmuszenie Niemców za każdą cenę do płacenia Reparacyj, które umożliwią im spłatę długów Ameryce".

Wspominam tu o zgadnieniu długów wojennych, gdyż „zbliżyło" ono Amerykanów do zagadnień niemieckich, gdyż właśnie długi wojenne były jedną z przyczyn pojawienia się Planu Dawesa a potem Planu Younga.

W grudniu 1927 roku p. Parker Gilbert, generalny przedstawiciel Aliantów do spraw Reparacyj, stale urzędujący w Berlinie, złożył raport, w którym twierdził, że „nie da się rozwiązać ani sprawy Reparacyj ani sprawy długów międzyaliancklch, dopóki finansowe zobowiązania Niemiec nie będą ustalone w sposób absolutnie trwały i ostateczny i dopóki wykonanie tych zobowiązań nie zostanie zorganizowane tak, aby mogło się obywać bez jakiejkolwiek obcej kontroli lecz **zgodnie z rzeczywistym interesem gospodarki niemieckiej**".

PLAN YOUNGA

Plan Dawesa przestał więc „wystarczać". Pomyślano o czymś nowym. W czerwcu 1929 r. zawarte porozumienie w Hadze, na podstawie którego wszedł w życie t. zw. Plan Younga. Jak każdy „Plan" tak i ten rozpoczął się od... pożyczki, w wysokości 1200 milionów marek. Zniesiono też ostatecznie Komisję Reparacyjną — niewygodny dla Anglosasów instrument w rękach Francji — a administrację długami Niemiec powierzono Bank of International Settlements w Bazylei — instytucji specjalnie stworzonej dla dokonywania rozliczeń międzynarodowych. Spłaty Reparacyj miały być dokonywane w równych ratach miesięcznych a gwarancją funkcjonowania Planu Younga była zgoda rządu Rzeszy na przekazywanie dochodu z ceł, z podatku od tytoniu, piwa, wódek oraz podatków bezpośrednich Niemieckich Kolei Żelaznych — wprost na rachunek Reparacyj. Warto jeszcze zaznaczyć, że Plan świadczył otwarcie o związku długów międzyaliancklch i Reparacyj, przewidywał bowiem, że część spłat reparacyjnych będzie odrazu przekazywana na pokrycie długów wojennych a po.... 37 latach wszystkie wpływy reparacyjne pójdą na pokrycie długów.

Plan Younga nie żył długo. Kryzys światowy spowodował załamanie się wszelkich planów i pod hasłem „ratuj się kto może" ogłoszono ogólne moratorium Hoovera — a Reparacje ustały raz na zawsze. Rząd niemiecki zdążył jeszcze „zamrozić" znaczną część kapitałów zagranicznych, a od 1933 roku Hitler hermetycznie zamknął zagraniczne aktywa i zaczął je „produktywizować" w formie armat, samolotów i czołgów.

BILANS REPARACYJ

Zróbmy krótki bilans.

Całość spłat reparacyjnych wg. danych Komisji Reparacyjnej wyniosła 20.769,9 milionów marek. **W czasie ich trwania Niemcy uzyskały cc. 30 miliardów pożyczek zagranicznych.** Prócz pożyczek, w czasie inflacji (podobnie jak obecnie) istniało w Niemczech jeszcze jedno źródło przypływu dewiz: spekulacja. Amerykańscy spekulanci wykupili — według danych E. Mantoux — do roku 1924 rozmaitych papierów na sumę cc. 8 miliardów marek. Jak poważny był ten „współczynnik spekulacyjny" świadczy ocena Keynesa („A Revision of the Treaty"), który w 1921 roku napisał dosłownie: „Nadwyżka eksportu nad importem wynosi w U. S. A. 3 miliardy dolarów rocznie. Bilans ten wyrównywany jest przez wpływy z turystyki i przekazy imigrantów — głównie do Europy — do wysokości 1 miliarda. Pozostałe 2 miliardy muszą być przez U. S. A. w ten lub inny sposób światu pożyczane co rok. **W latach 1919 — 1921, dość szczęśliwie dla Europy, znaczna część tego 2 miliardowego deficytu była pokrywana przez spekulacyjne zakupy walutowe. W tych latach straty amerykańskich spekulantów żywiły Europę".**

Przeważająca większość aktywów zagranicznych została przez Niemców w latach kryzysu zamrożona: nie było celu spłacać długi i zezwalać na wolny ruch kpitałów, skoro kryzys uniemożliwił uzyskiwanie dalszych kredytów.

Na lwowskim Studium Dyplomatycznym w roku 1934, w czasie wykładów o gospodarce światowej jeden z kolegów zapytał prof. Hipolita Gliwica: „panie ministrze, proszę nam wytłumaczyć sens systemu kapitalistycznego; mnie się wydaje, że w tym jest jakieś złodziejstwo, żeby człowiek, który włożył do banku n. p. 100 dolarów odebrał — nic nie robiąc — dajmy na to 10.000 po 50 latach".

Gliwic uśmiechnął się i uspokoił interpelanta: ten kto włożył do banku lub kupił akcyj za 100 dolarów, nigdy 10.000 nie odbierze. W ciągu tych piędziesięciu lat, w których mają narastać odsetki, bank trzy razy zbankrutuje, dwie wojny zdewaluują pieniądze, a ogień, woda, zaraza i nowe ustawodawstwa, pogrzebią nadzieje wkładcy. Ten ogień, wojny i bankructwa — są częścią składową systemu kapitalistycznego w tym samym stopniu jak świętość procentu składanego przy wkładach bankowych".

Przypomniała mi się ta na poły tylko żartobliwa odpowiedź Gliwica przy czytaniu oświadczenia, które pod adresem zagranicznych wierzycieli, złożył w roku 1934 doradca finansowy gen. Dawesa — Dr Hjalmar Schacht. „Mam najwyższe współczucie — mówił Schacht — dla zagranicznych posiadaczy niemieckich papierów wartościowych, którzy, — wierząc temu co im mówiono w ich krajach — myśleli, że dokonują korzystnych inwestycyj, subskrybując niemieckie pożyczki, a obecnie zmuszeni są do tego, żeby zapomnieć o procentach. Niemniej jednak nie widzę innnego sposobu, w jaki mógłbym im pomóc, jak tylko oświadczając: można spłacać długi tylko wtedy, kiedy się zarabia pieniądze". Oświadczenie to oparte było na oczywistym kłamstwie, gdyż w tym czasie eksport Niemiec wzrósł b. poważnie, zbliżając się w roku 1931 do cyfry eksportu amerykańskiego (Ameryka 12,6% eksportu światowego, Niemcy 12,1%) i w tych ciężkich latach kryzysowych wykazywał wyjątkową żywotność. Jednak prawa systemu kapitalistycznego, tak mądrze nam kiedyś wykładane przez Hipolita Gliwica, funkcjonowały nieomylnie na korzyść Niemiec.

E. Mantoux w swej wybornie napisanej, choć nie we wszystkim słusznej pracy („The Carthaginian Peace or the Economic Consequences of Mr. Keynes", London 1946), nazwał Reparacje melancholijnym problemem. W świetle depesz prasowych z ostatnich dni okazuje się, że „Reparacje" w cudzysłowie przestają być problemem melancholijnym, że zwolna odżywają. Oczywiście nie te, które ustanowił Poczdam, Nekrolog Reparacjom, przyznanym w Poczdamie ofiarom agresji niemieckiej wystylizował już rok temu londyński „The Economist" (23.11.46.), w następujących słowach: „Półtora roku trwający podział Niemiec i brak współpracy z Rosją spowodował wśród Anglosasów inklinację w kierunku utrzymania tego podziału Niemiec, a płynące z tego faktu niedogodności byłyby skompensowane przez wstrzymanie dostaw reparacyjnych ze stref zachodnich do Rosji. Nie należy sądzić, że jest to powszechny i urzędowy punkt widzenia, nie mniej jednak takie podejście do sprawy może zniweczyć szanse osięgnięcia praktycznego rozwiązania dla problemu Reparacyj i zjednoczenia Niemiec".

Dziś, po Konferencji Moskiewskiej i sierpniowych uchwałach Anglosasów w sprawie poziomu przemysłu niemieckiego wiemy już napewno, że jest to — niestety — „powszechny i urzędowy punkt widzenia". Reparacje z zachodnich stref okupacyjnych — m. in. dla Polski — stały się iluzją, a jedyne co nas dochodzi, to ta część towarów — 15%, — które na mocy umowy polsko-sowieckiej z sierpnia 1945 roku, rząd radziecki wydziela Polsce ze swej strefy okupacyjnej.

Kapitaliści Zachodu, nawet ci, mniej krwiożerczy i nie dążący do trzeciej wojny, nie mają zamiaru rezygnować z zysków, które im zapewnia eksploatacja niemieckiego potencjału przemysłowego i handel z zachodnimi Niemcami. Rozumiejąc postawę Związku Radzieckiego i Polski w sprawie Reparacyj — wzruszają ramionami, gdy przyjdzie wyciągnąć z tego praktyczne konsekwencje. Odbudowa własnego dobrobytu, zyski holdingów amerykańsko - angielsko - niemieckich z jednej strony i petryfikacja zacofania gospodarczego wschodu Europy z drugiej — oto ich cel. Gospodarstwo niemieckie, zamiast istotnie służyć odbudowie zniszczonych krajów, stać się musi — z ich woli — terenem ekspansji kapitałów anglosaskich. „The World Today" pisał niedawno:

„Postawa Rosjan nie jest niesłuszna, jeśli wziąć pod uwagę, że w czasie odwrotu niemieckiego, spustoszono 60 milionów hektarów ich terytorium i że w tym samym okresie czasu zniszczono lub zrabowano na korzyść Niemiec 75% miast i fabryk rosyjskich. Europa na wschodzie od Wisły i Karpat jest tak spustoszona, że Rosja stara się ją odbudować przez rekwizycje (czytaj: Reparacje — przyp. A. K.) w Europie środkowej. Z drugiej strony życie gospodarcze Europy Zachodniej, Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych jest ściśle związane z życiem gospodarczym Niemiec i jest rzeczą zrozumiałą, że **kraje te starają się ocalić od katastrofy wszystko co możliwe.** W ten sposób, **słusznie czy niesłusznie,** ale w każdym razie w sposób nieunikniony, interesy gospodarcze Rosji z jednej strony, a Europy Zachodniej i Stanów Zjednoczonych z drugiej — są tak całkowicie przeciwstawne, że możliwość kompromisu jest w znacznej mierze złudna. Różnice te są zasadniczo gospodarcze i przemijające, a wynikają **z nacisku przerażających zagadnień** (podkreślenia moje — A. K.). Postawy Rosjan nie należy interpretować jako próby polityki imperialistycznej, lecz przyjąć narazie jako nieuniknione następstwo przebytych cierpień. Będzie ona trwała prawdopodobnie przez dwa lata do chwili, gdy **czas i energia ludzka** zmażą najgorsze ślady zniszczeń i głodu w Europie Wschodniej. Wówczas różnice polityczne złagodnieją, a Wschód na równi z Zachodem będzie zainteresowany w rozwoju handlu i podniesieniu stopy życiowej na kontynencie".

Obłuda ostatniego zdania cytowanego wyżej artykułu, mogłaby zdumiewać, gdyby w sprawach polityki i interesów zdumienie mogło być właściwą reakcją. Pozostawia się nam „czas i energię ludzką" a „nacisk przerażających zagadnień" rozwiązuje się przez eksport kapitałów amerykańskich do Niemiec.

STARZY ZNAJOMI

„Reparacje" — właśnie te w cudzysłowie — tak jak je poznaliśmy w toku tych wywodów — odżywają. Depesze prasowe z ostatnich tygodni doniosły, że przewiduje się w pierwszym etapie zainwestowanie w Niemczech sumy 1 miliarda dolarów. „Plan generała Drapera (jeszcze jeden generał — przyp. A. K.), przewiduje jakoby prywatne pożyczki amerykańskie w okresie trzyletnim, pokryte przez wypuszczenie obligacyj na rynek amerykański. Pożyczki te, służyć mają na odbudowę tych gałęzi przemysłu, **w których zaangażowane są jeszcze z czasów przedwojennych kapitały amerykańskie".**

Inna depesza („Robotnik" 18.9. br.), przyniosła wiadomość jeszcze ciekawszą: „W kołach poinformowanych twierdzą, że oficjalne czynniki amerykańskie starają się obejść przepisy Banku Międzynarodowego, nie pozwalające mu na udzielanie pożyczek Niemcom, **przez wskrzeszenie dawnej instytucji Ligi Narodów „Bank of International Settlements"**, który subsydiowałby przemysłową odbudowę Niemiec. Fundusze na ten cel Bank uzyskałby z najrozmaitszych swych dawnych inwestycyj międzynarodowych oraz przez ściągnięcie zaległych długów, których po dziś dzień wiele państw nie spłaciło".

A więc „Reparacje" naprawdę chyba odżyją skoro zamierza się przywrócić do życia instytucje (Bank of International Settlements), która powstała w wyniku przyjęcia Planu Younga i skoro bank ten ma zamiar ściągać — stare długi. „Plan Younga" — odmłodzony — wejdzie więc jako część składowa „planu Marshalla", tak jak sam jego twórca, Mr. Owen D. Young jest obecnie przewodniczącym jednej z podkomisyj, analizującej finansową i ekonomiczną stronę zagadnień, związanych z „Planem Marshalla".

Warto też przypomnieć, że — podobnie jak wraz z powstaniem Planu Dawesa — Komisja Reparacyjna, organ wszystkich zainteresowanych państw, coraz bardziej spychana była na boczny tor, aż w końcu — przy Planie Younga — uległa całkowitej likwidacji, a głos decydujący w sprawach Reparacyj uzyskali Anglosasi; — że podobny los spotyka obecnie Europejską Komisję Gospodarczą (organ ONZ), która wraz z zainicjowaniem Planu Marshalla stała się instytucją bez praktycznego znaczenia, gdyż faktyczna gestia w sprawie „komu, ile i kiedy" przeszła całkowicie w ręce Amerykanów.

Jest dobrym prawem każdego narodu dysponować swobodnie swoimi zasobami. Tym razem jednak Amerykanie dysponują w pierwszym rzędzie dobrami cudzymi: zanim którekolwiek z państw europejskich otrzymało choćby jednego dolara na zasadzie Planu Marshalla, już wiele zniszczonych wojną państw pozbawiono Reparacyj, anulując w sierpniu br. poprzednie uchwały, przeznaczające poszczególne fabryki niemieckie ofiarom agresji. Przemysł zachodnich Niemiec niełatwo będzie dźwignąć do poziomu produkcyjnego z roku 1936, ale bardzo łatwo przyszło Anglosasom — uchwałami sierpniowymi — pozbawić Europę zarówno pomocy gospodarczej płynącej z Reparacji jak i — poczucia bezpieczeństwa.

Andrzej Kruczkowski

---

*) Zobacz poprzedni numer „Kuźnicy".

TREŚĆ NR. 45:

Ilja Erenburg — **Kultura jest niepodzielna.** Stefan Jędrychowski — **Ekonomiczne podstawy siły.** Stanisław Ehrlich — **Pierwsza Konstytucja Republiki Radzieckiej.** Włodzimierz Majakowski — **Pełnym głosem.** N. Tichonow — **Plac Bastylii.** A. A. Żarow — **Na śmierć Jesienina.** Mieczysław Jastrun — **Majakowski.** Tadeusz Daniszewski — **Feliks Dzierżyński.** Andrzej Kruczkowski — **Plan Marshalla w dawnych latach.** Celina Bobińska — **Prawdziwy obraz ZSRR.** Jadwiga Siekierska — **Rewolucja, kultura, człowiek.** Zofia Lissa — **Z zagadnień radzieckiej twórczości muzycznej.**

TADEUSZ JULIUSZ KROŃSKI (ERAZM)

SPRAWA MAURRAS'A

SZANSA polityczna Francji, czy ściślej mówiąc, szansa demokracji francuskiej polega w dużej mierze na tym, że siły jej wrogie w punktach węzłowych historii ukazują swe właściwe oblicze tak dobitnie, tak sugestywnie, że charakter ich długo niejasny, pełen momentów niezrozumiałych i niespodzianek, staje się nagle przejrzysty i absolutnie jednoznaczny. Działalność literacka Josepha de Maistre'a, reakcja po-napoleońska, koszmary prawicy intelektualnej III-ej Republiki z Drumontem i Barres'em na czele — cóż za fantastyczne przykłady prawdziwych reakcjonistów. Nie zamąceni ani trochę udawaną troską społeczną, i czując się związani kulturą tylko o tyle, o ile nie krępuje ona ich wolności, rzec by się chciało, „egzystencjalnej", kroczą czy biegną wszystkimi drogami, jakie daje im do dyspozycji demiurg reakcji, aby ukazać po tym nam — przerażonym obserwatorom — nieprawdopodobny aspekt perwersji i okrucieństwa.

Joseph de Maistre zaprowadził nas do domku kata. Zastukał do drzwi. Czekaliśmy. Wreszcie otworzyły się i ukazała się w nich sylwetka mistrza. De Maistre powiedział kilka słów przyciszonym głosem — teraz, jak w ziym śnie, znajdujemy się na placu tortur. Na instrumencie zrobionym ze zbitych desek leży rozpięta ofiara. Kat podchodzi do niej. Po chwili słychać już tylko wycie i grzechot (i świst) kości łamanych powoli i systematycznie wprawną ręką. — Restauracja dawała już mniej podniet dla „bliźnich markiza de Sade"*— ale za to jak jest interesująca intelektualnie. Drumont, Barrès. To już inna prawica, nowoczesna, rasistowska, zamknięta piękną dla historyka sprawą Dreyfusa. A z nowszych, naszych współczesnych: Brasillach, cóż za człowiek (z jednej bryły!). Był zawsze faszystą, a przy tym obdarzony taką odwagą cywilną (przyznajemy, przyznajemy), że przekonań swych nie zmienił nawet pod okupacją niemiecką. Rozstrzelany za zdradę stanu (kolaboracja z wrogiem przeciw Francji) dnia 6 lipca 1945 roku w forcie Montrouge. Zaprowadził nas tam po to, żeby przed udaniem się na egzekucję uściskać dłoń prokuratorowi (lojalista i dobry „obywatel", rozumiejący, że jego oskarżycielem kierował „obowiązek"), a przed plutonem egzekucyjnym krzyknąć: „Vive la France" (nic to, że zdrajca i donosiciel, bo to dla Niej zdradzał i wydawał na śmierć członków Résistance). Teraz padnie za chwilę, przeszyty kulami, ale to francuskie kule, francuscy żołnierze, więc „Niech żyje Francja" (— Ach, mój Boże!). Prawie tak samo umierał Béraud i wielu innych. A Drieu la Rochelle, smakołyk dla historyka, filozofa i wszystkich tych, którzy nie mogą nie smakować występów reakcji **ad maiorem Dei gloriam.** Wybitny intelektualista i świetny pisarz, niewątpliwie wykształcony (nie to, co np. Barrès), wróg świadomy Renesansu, humanizmu, Oświecenia. Prosto i równiutko pomaszerował drogą prawicy tradycyjnej, a okoliczności pozwoliły mu się wykrystalizować na wzorowego kollaboranta intelektualnego i laudatora faszyzmu w jego jednoznacznie brunatnej postaci, bez fałszywie wstydliwego unikania imion Hitlera czy Himmlera. Ale może i on nie odmówiłby sobie wzruszającego „Vive la France" przed egzekucją, gdyby przed procesem nie popełnił samobójstwa.

I wreszcie bohater naszego szkicu — Charles Maurras. Wiele dano by w innych krajach podbitych przez Niemcy hitlerowskie za posiadanie takiego człowieka. Żarliwy patriota, jeden z najwytworniejszych umysłów swego narodu, zawzięty wróg wszystkiego, co niemieckie, a jednak fanatyczny zdrajca i wzorowy donosiciel. Że Francja mogła przedstawić go światu, miało to swoją przyczynę we względnej łagodności okupacji niemieckiej w tym kraju. Niemcy pozwolili na „zone libre", ten cudowny polityczny rezerwat najbardziej interesujących egzemplarzy reakcji. Nacjonalizm francuski był zawsze najściślej związany z interesami burżuazji francuskiej. Bagnety niemieckie w strefie okupowanej dawały reakcji siłę i gwarancję bezpieczeństwa. Istnienie strefy wolnej pozwalało na tyle poczucia suwerenności, żeby nie tylko nie osłabić, ale jeszcze spotęgować nacjonalistyczny charakter reakcji burżuazyjnej.

Zbrodniarzy politycznych powinniśmy zawsze traktować ze szczególną wyrozumiałością psychologiczną. Wyrozumiałość ta nie oznacza oczywiście pobłażliwości tam, gdzie kończy się sfera psychologii, a zaczyna socjologia stosowana: polityka. Wezwania do łagodności i przebaczenia oparte są zazwyczaj nie na zrozumieniu motywów psychicznych przestępcy, ale na ich zupełnym lekceważeniu. **Homo sum; humani nihil a me alienum puto,** jest często, ale zawsze niesłusznie utożsamiane z „tout comprendre c'est tout pardonner". Mądra i tak w swym patosie spokojna sentencja łacińska nie zawiera nic ponad humanistyczny dezyderat rozumienia człowieka i jego losów. Identyfikacja tego rozumienia z przebaczeniem wnosi do tego postulatu element mu obcy, niehumanistyczny, sentymentalny. Tak mówią ci, którzy wierzą w niezmienność natury człowieka, ludzie, wykładający życie i jego komplikacje nie historycznie, nie dynamicznie, ale statycznie, ludzie, wierzący w jakieś ogólne prawa, obowiązujące wszystkich zawsze i wszędzie, a zawdzięczające swą moc pojętej statycznie i zdaniem ich doskonałej strukturze politycznej. Tak myślał Etienne Gilson, kiedy w swym uroczystym przemówieniu w Akademii Francuskiej wzywał do przebaczenia Akademikom-kolaborantom, których dotknęła **épuration***): ludziom, którzy tak ukochali nasz język, przebaczmy, Panowie, miarą tej ich miłości". Przebaczmy zdrajcom i donosicielom, ludziom, którzy mordowali bezpośrednio lub pośrednio, przebaczmy, bo język francuski, którego oni byli dobrymi sługami, jest największym skarbem tej kultury, dzięki której naród francuski odgrywał i odgrywa wielką rolę w świecie, a bez której stoczyłby się do politycznego niebytu. Tę kulturę pojmuje Gilson nie w jej nieustannym ruchu, nie jako dobro heraklitejskie, ciągle żywe i ciągle inne, ale jako coś raz na zawsze zastygłego i nieczułego, jako dobro symbolizujące i podpierające trwałość tej struktury politycznej, z jaką wielki mediewista francuski związał się intelektualnie, emocjonalnie i praktycznie. Mogą wybuchać na świecie największe i najkrwawsze wojny, ale... jest przecież coś stałego w świecie: kultura, i w jej imieniu należy przebaczyć tym, którzy wciąż jej służąc, z tych czy innych przyczyn zbłądzili. Dla dobra tej kultury należy jakoby oszczędzać utalentowanych zbrodniarzy i łotrów politycznych, bo, ocaleni, będą oni dla niej nadal pracować, a tym samym gmach kultury pokoleń pozostanie bez zmiany, świadcząc swą trwałością i nienaruszonością o nonsensie zabiegów obozu rewolucyjnego, który „bije" w samą kulturę, dramatyzując ją i zmuszając do życia. — To jest taktyka reakcji, widoczna dziś we Francji, interesująca i godna uwagi. Zaczyna się od artykułów, przypominających „wielkość" i „patriotyzm" Barrès'a, i stwierdzających przy tym otwarcie, że gdyby żył podczas naszej wojny, „byłby" narodowym socjalistą", choć to nie znaczy, że „byłby się splamił kollaboracją". O co, o kogo tu chodzi? Któż to był narodowym socjalistą (w każdym razie w praktyce) i „nie splamił się kollaboracją"? Któż to tak głęboko ukochał język francuski, że należy mu wybaczyć jego błędy? Czyje to imię jest jeszcze przemilczane na łamach dzienników i periodyków, w dyskusjach literackich i pod kopułą Akademii, ale za to tym głośniej i bezczelniej przemawia do nas z murów arystokratycznych dzielnic Paryża i eleganckich banlieues? **Charles Maurras! Vive Maurras! Maurras au pouvoir!**

Niewątpliwie wielki pisarz, obdarzony przy tym głęboką kulturą humanistyczną, Charles Maurras został skazany dnia 27 stycznia 1945 przez trybunał w Lyonie na dożywotnie więzienie i degradację narodową za kollaborację z wrogiem i działanie na szkodę Francji. Prokurator żądał najwyższego wymiaru sprawiedliwości, od którego ocalił oskarżonego podeszły wiek: Maurras miał w chwili procesu 77 lat. Ze względu na dramatyczną aktualność sprawy Maurrasa przypomnijmy ją, przynajmniej w jej punktach węzłowych. Dwa i pół roku, które minęły od wydania wyroku, nie osłabiły jego aktualności. Przeciwnie. Czas, jaki upłynął od pamiętnej rozprawy, pomoże do lepszego zrozumienia motywów oskarżonego, pozwoli też na tym lepszą ich wykładnię dialektyczną i socjologiczną. Czas ten przyniósł brutalne manifestacje kapitalizmu amerykańskiego i pierwsze świergoty reakcji francuskiej. Przyniósł też egzystencjalizm i reakcję przeciw egzystencjalizmowi: renesans lewicy francuskiej. Zobaczymy, że wszystkie te momenty odegrają rolę dialektycznych bohaterów procesu, który rozegrał się w styczniu roku 1945.

Charles Maurras został aresztowany 8 września 1944, na drugi dzień po uwolnieniu Lyonu. Klasyczny widok „agents" w melonikach, przynoszących mu ograniczenie wolności osobistej, nie był dlań nowy. Jego bujny i gwałtowny temperament polityczny dostarczył mu już przedtem dwa razy okazji do osobistego zapoznania się z przykrościami francuskiego systemu penitencjarnego: raz w roku 1926 za groźby wobec osoby ówczesnego socjalistycznego ministra spraw wewnętrznych Schrameck'a („zabijemy pana jak psa" — pisał Maurras w „Action Francaise"), drugi raz za prawie jednobrzmiące groźby wobec ówczesnego premiera Bluma. Ostatecznie ani aresztowanie ani nawet wyrok skazujący nie są hańbą dla walczącego polityka, wierzącego w słuszność swej sprawy. Wzywając do zamachu na ministra, Maurras na pewno liczył się z interwencją prefektury. Może nawet jej sobie życzył. Za więzionego polityka walczą dalej jego idee. Jeszcze i jak walczą. Posłuchajmy, co pisał z okazji aresztowania Maurrasa jego ówczesny przyjaciel polityczny i współpracownik Brasillach*) — (ten sam, który w forcie Montrouge miał zdać tak dobrze egzamin z patetycznego umierania). Czas, ten niestrudzony historyk pragmatyczny, dbały przy tym tak często o formę artystyczną swych dzieł, dopiero w godzinie kapitulacji Francji w 40 roku podkreślił krwawo pewne zwroty Brasillacha, tak, że dziś czytamy je uwyraźnione artykulacją historii:

„Jesteśmy wzburzeni, przyznajemy to, kiedy, obserwując olbrzymi przewrót ideowy, który w naszych oczach tworzy Europę jutrzejszą, myślimy o losie człowieka, od którego przewrót ten wyszedł. Zapytajmy Salazara, Degrelle'a albo Franca, a każdy z nich odpowie: „Francja, to Maurras"... ...We Włoszech idee Maurrasa mają znaczenie równie wielkie jak idee Sorela. Wszędzie, gdzie formuje się młody ruch nacjonalistyczny, czy to będzie w Belgii, w Szwajcarii czy w Polsce, ruch ten zwraca się przede wszystkim do rewolucyjnego tradycjonalizmu Maurrasa. A któż mógłby powiedzieć, że jego idee są obce Niemcom? A jeżeli przyjdzie dzień, w którym runie imperium sowieckie, to czyż nie będzie to zasługą tej małej grupy młodych Rosjan, którzy dokoła wspomnień o carze-samodzierzcy wypracowują program, który silnie przypomina doktrynę monarchiczną **Action Francaise?** Jest to niemal paradoksalne, że nie ma dziś kraju, łącznie ze Stanami Zjednoczonymi, gdzieby nie szukano dziś gwarancji, idei i ziarna przyszłości w dziele Maurrasa... Człowiek, który przez całe swe życie był bohaterem nadziei, i który zrozumiał, że nadzieja ma słuszność, może dziś jako symbol, uderzający wszystkie spojrzenia, reprezentować swój naród uwięziony: nie jest daleka ta chwila, jesteśmy tego pewni, kiedy naród ten oswobodzimy".

Ostatnie aresztowanie Maurrasa musiało być dlań szokiem nierównie większym jak dwa poprzednie: wstrząs i zdziwienie bolesne, motywowane antycypacją okresu, w którym idee jego, prawdopodobnie zamrożone, nie będą mogły pracować dlań z takim rezultatem, z jakim pracowały w roku 26tym i 36-tym. Ale i zaskoczenie. Bowiem w parę godzin po zajęciu miasta przez Aliantów zjawili się u niego czterej dziennikarze amerykańscy, ażeby dowiedzieć się u źródła (jeden z największych pisarzy Francji i Akademik) prawdy o gospodarce niemieckiej we Francji. Wizyta miała podobno charakter tak przyjazny, że Maurras był całkowicie pewny swego

*) W „Je suis partout" z 7 listopada 1936.

*) por. niedawno wydaną książkę Klossowskiego (Sade Mon Prochain).

WYWIAD Z ILJĄ ERENBURGIEM

W dniach 1—3 listopada br. przebywała w Łodzi wycieczka pisarzy radzieckich z Ilią Erenburgiem na czele. Redakcja „Kuźnicy" pragnąc zapoznać swoich czytelników ze stanowiskiem wybitnego pisarza wobec propagowanego przez niektóre wsteczne ośrodki polityczne w Europie i poza Europą hasła o rzekomej podzielności kultury europejskiej zwróciła się za pośrednictwem swego przedstawiciela do Ilii Erenburga z prośbą o udzielenie odpowiedzi na pięć pytań. Poniżej podajemy tekst wywiadu:

1) Jak pojmuje Pan zagadnienie współczesności w sztuce?

Każda epoka znajduje dla swojej treści odpowiednie formy. Odbicie treści w literaturze i sztuce wykazuje ich treść polityczną. Bowiem wyrzeczenie się treści jest także treścią. Z drugiej zaś strony wyrzeczenie się formy jest także formą, ale nie formą stworzoną w sposób artystyczny, lecz znalezioną na ulicy.

2) Jaka jest, zdaniem Pana, rola wielkiej, klasycznej literatury europejskiej w rozwoju postępowej literatury w krajach demokratycznych?

Na wielką literaturę europejską składają się w równej mierze dzieła pisarzy zachodnich i wschodnich krajów. Wydaje mi się rzeczą błędną, by można było nazwać koryfeuszem literatury Balzaca i Flauberta, a nie uważać za takiego Lwa Tołstoja i Dostojewskiego. By z jednej strony stawiać Wiktora Hugo, a z drugiej Słowackiego. Klasycy literatury europejskiej są to źródła, z których pić może każdy. Różnica polega tylko na tym, że jedni czerpią z dzieł tych klasyków, a inni klną się tylko ich imionami. W hitlerowskich Niemczech w każdym mieście była Goethestrasse, ale to nie przeszkodziło tym, którzy urodzili się i wychowali na Goethestrasse w paleniu książek i niszczeniu pomników kultury tak samo jak żywych ludzi. Kulturę należy ochraniać, ale kulturę należy również kontynuować.

Kultura nie jest rentą. To nie papier wartościowy, który można złożyć do safesu, aby odcinać kupony. Szczycimy się, że jesteśmy nie tylko obrońcami ale i spadkobiercami światowej kultury, klasycznej literatury i sztuki. My nietylko gramy Szekspira w naszych teatrach lecz również mamy nadzieję, że będziemy mieli własnych Szekspirów — nie epigonów Szekspira, lecz nowych Szekspirów dwudziestego stulecia.

3) Czy sądzi Pan, że kontakt z postępową sztuką Zachodu może być owocny dla sztuki krajów demokratycznych?

Myślę, że granica sztuki przebiega nie w przestrzeni, lecz w czasie. Sztuka to nie kartofel, ukryty głęboko w ziemi jednego narodu, ale drzewo, którego gałęzie swobodnie rozpościerają się ponad granicami państw. My i nasi przyjaciele na Zachodzie — uczeni, pisarze i artyści, jesteśmy złączeni w tej naszej wspólnej ojczyźnie, którą nazwałbym kulturą ogólnoludzką. To nie my staramy się podzielić kulturę na kawałki, pokrajać ją jak pasztet. My wiemy, że jest tylko jedna kultura. Pozdrawiamy nietylko naszych bliskich przyjaciół sąsiadów, ludzi, których łączą z nami wspólne doświadczenia trudnych lat, pracowników kultury Polski, Jugosławii, Czechosłowacji, pozdrawiamy również pracowników nowej kultury na zachodzie—we Francji i innych krajach. Pozdrawiamy także szczególnie serdecznie tych, którzy są rzecznikami kultury w Ameryce, którzy przeciwstawiają się tym, kogo nazywam wulgarnym słowem „atomowcy".

4) Czy dostrzega Pan w literaturze zachodniej jakieś postępowe, mające przed sobą przyszłość. prądy?

Wszystko to, co sprzyja życiu i nowej epoce jest nam na zachodzie bliskie. We Francji np. widzimy, że poczynając od Anatola France'a i Romain Rollanda do Eluarda i Aragona, wszystkie żywe siły kraju opowiadają się po stronie nowego wieku. Z nami są wszyscy ci, co wierzą i walczą za dzień jutrzejszy, przeciwko nam — ci, którzy chcą powstrzymać dzień wczorajszy.

5) Jaki jest stosunek Pana do literatury polskiej?

Niestety, współczesna polska kultura nie jest u nas dostatecznie znana. Kiedy ukazał się tom przekładów Tuwima, to było wielkie wydarzenie, choć przekłady nie były bez usterek. Nasze wydawnictwa przewidują w planie na rok 1948 ukazanie się wielu książek zarówno z polskiej literatury klasycznej jak i współczesnej. Wierzymy, że naród, który wydał Słowackiego i Mickiewicza teraz, po głębokich wstrząsach wojennych, stworzy literaturę niezwykłej wartości.

*) Gilson został uroczyście przyjęty do Akademii 29 maja tego roku, zajmując fotel opróżniony przez kolaboranta z Niemcami Abel Hermanta.

bezpieczeństwa. Mógł przytym liczyć na wielu przyjaciół nie tylko w kraju, ale i w państwach alianckich, głównie wśród Anglosasów, i chociaż **Action Francaise** w czasie wojny, wyraźnie oszczędzając Amerykę, z całą brutalnością atakowała Wielką Brytanię, to i tam byli jego wpływowi zwolennicy*) Maurras przez cały okres okupacji nie uprawiał kollaboracji bezpośredniej, sam nie miał kontaktów z Niemcami, a na kollaborację „pośrednią" (jak na każdą „pośredniość") można się rozmaicie patrzeć. Prawda, że pisał niemal codziennie przeciw aliantom (są roczniki **Action Francaise**). Ale obrona będzie powoływać się na notoryczną nienawiść Maurrasa do Niemców (Boszów). Dowody? Przedwojenne pisma i poematy Maurrasa. Artykuły **(Action Francaise)** i odczyty, nawet te z czasów wojny, niewątpliwie antyniemieckie. Napaści na Maurrasa ze strony francuskiej prasy strefy okupowanej, zarzucające mu brak zrozumienia dla „nowej Europy" i szowinizm (atakuje Maurrasa sam Brasillach — stał się od czasów okupacji jego wrogiem). Bezwzględnie negatywny stosunek Maurrasa do Lavala („Laval to nędznik i zdrajca"). Świadectwo SS stwierdzające „patriotyzm" Maurrasa (wyciąg ze ściśle tajnego biuletynu SS sztafety propagandowej, grudzień 1943; Sonderfuehrer Thiersch: „Nie ulega wątpliwości, że Charles Maurras wyżywa się w gwałtownych napaściach na Anglię, Moskwę i żydostwo; ale cała argumentacja, której używa, jest w równym stopniu skierowana przeciw Niemcom. Jest ona bowiem związana z postulatem politycznej i duchowej autarkii Francji").

Prokurator bynajmniej nie kwestionuje antyniemieckości Maurrasa. Przeciwnie, podnosi ten rys działalności oskarżonego w swoim przemówieniu:

„To jest pewne. Tego nie neguję. Mam do swojej dyspozycji **dossier**, zawierające wielką ilość artykułów prasy paryskiej, podpisanych przez Brasillacha i innych, których nazwisk sobie nie przypominam. Krytykują one gwałtownie Maurrasa, zarzucając mu germanofobię".

Nienawiść do Niemiec była zresztą zawsze jedną z idej regulatywnych działalności Maurrasa. Krytykował Traktat Wersalski za zbytnią łagodność wobec pokonanej Rzeszy. Pierwszy z wielkich publicystów Francji zwracał uwagę opinii na odradzanie się imperializmu germańskiego. Germanofobia łączyła się poza tym u Maurrasa z jego „klasycyzmem (Boże, jakże komplikuje się jego sprawa)! Maurras był bowiem jako krytyk, historyk, estetyk i filozof zaprzysięgłym wrogiem romantyzmu, w którym widział siłę barbarzyńską, anarchiczną i obcą klasycznej tradycji Francji. W niezliczonych i zazwyczaj świetnie pisanych rozprawach uzasadnił swą „doktrynę klasyczną", piętnując wszelkie objawy mody niemieckiej u Francuzów — dziedziców helleńsko - rzymskiej tradycji. Ale cóż, kiedy klasycyzm Maurrasa wymierzony był niemniej silnie przeciw demokracji. To demokracja była, jego zdaniem, winna upadku kultury greckiej, to ona demoralizuje i rozkłada naród francuski. „Francja nie jest stworzona, żeby żyć w demokracji. Ani Francja, ani jakikolwiek naród. Demokracja jest chorobą polityczną. Wychodzi się z niej, albo się umiera. Nie żyje się w demokracji" („Mes idées politiques", 1937). A deklaracja ideowa **Action Francaise** (1905) powiada: „Zobowiązuję się do zwalczania każdego ustroju republikańskiego we Francji. Republika jest we Francji rządem niefrancuskim **(le règne de l'étranger)**. Duch republikański dezorganizuje obronę narodową i faworyzuje wpływy wrogie katolicyzmowi tradycyjnemu" **).

Nienawiść do Republiki sprawia, że Maurras kapitulację Francji w 1940 roku wita raczej z ulgą: „Najcięższa z naszych klęsk miała ten dobry skutek, że pozwoliła nam pozbyć się demokracji". Przenosi redakcję „Action Française" do Lyonu **(zone libre)** i całym sercem popiera politykę Pétaina. Prokurator stwierdza w swym przemówieniu, że Maurras miał wpływ olbrzymi. Dzień po dniu pisał swe artykuły, zawsze jędrne, gwałtowne, dramatyczne, rozsadzające od wewnątrz francuską résistance: „Jego kampania przeciw Francuzom, którzy walczyli o uwolnienie ojczyzny, przeciw Aliantom i wszystkiemu, co mogło się przyczynić do uwolnienia, były równie zażarte jak nieustanne. Nie skapitulował nawet 23 sierpnia 1944 (powstanie ludu Paryża) i dalej żądał sankcji przeciw patriotom... Maurras zwalczał wszelkimi sposobami olbrzymią większość republikanów, winną w jego oczach tego, że nie poddała się ślepo polityce Vichy i dalej śniła o wolności. Walczył zażarcie przeciw komunistom, zdając sobie sprawę z tego, że ci ludzie najzawzięciej walczą z wrogiem i szczególnie nienawidzą reżimu Vichy. Wskazuje tych ludzi, żeby dotknęły ich represje. Fanatyczny antysemita, Maurras miał dzięki Pétainowi okazję do zaspokojenia swej nienawiści. Dorównuje Goebbelsowi w propagandzie prześladowania Żydów".

Maurras był sumieniem rządu w Vichy, był osobistym przyjacielem Pétaina (który nazwał go „najbardziej francuskim z Francuzów"). Artykuły jego były nie tylko zwierciadłem rządzącej w tym okresie burżuazji, ale też sugestiami i wskazówkami dla władz, często z powodu jakiegoś residuum patriotycznego zbyt opieszałych w rozumieniu polityki nowego reżimu i jeszcze powolniejszych w wykonywaniu jego dekretów. To Maurrasowi zawdzięczała Francja ideę wywożenia młodzieży francuskiej na roboty do Niemiec i propagandę tej idei. To on pierwszy z publicystów „strefy wolnej" zasugerował egzekucje zakładników :„Jeżeli kara śmierci nie wystarcza do wyplenienia gaullistów, trzeba brać zakładników z pośród członków ich rodzin i wszystkich ścinać" (w „Action Francaise z 1.9. 1943). „Powtarzamy, że należy tak w Tuluzie, jak w Grenobli ogłosić nazwiska tamtejszych komunistów i gaullistów. Czy nie można ich wreszcie ściąć? Chodzi po prostu o to, żeby ich zbadać, osądzić, skazać i stracić" (ibidem. 4.1. 1944). „Nareszcie donoszą nam o skazaniu na śmierć pewnej ilości komunistów", „Byłoby wskazane, żeby potraktować część więźniów-komunistów jako zakładników i ściąć ich natychmiast" (8.8. 1943). „Mówi się o tworzeniu Milicji. Co za dobra nowina! Z pomocą pewnej i solidnej policji będziemy mogli unicestwić wszelkie zamiary rewolucyjne i wszelkie próby poparcia komunizmu wschodniego. Może stąd wyniknąć dużo dobrego, a na pewno nie wyniknie stąd nic złego" (6. III. 1943).

W działalności Maurrasa nie brakło i denuncjacyj osobistych. W artykule pt. „Dla tych, którzy powinni się ukryć" (A. F. z 24.2. 1943) Maurras wzywa do aresztowania chrześcijańsko-demokratycznych przywódców Résistance: „Wystarczyłoby przedrukować kilka kolumn ich dziennika „L' Aube", żeby posłać tych panów najszybszą drogą na szafot. Ci godni współsprawcy naszych wszystkich nieszczęść nie ponieśli żadnej namacalnej kary. Pan Champetier de Ribes wycofał się majestatycznie do swej posiadłości w Béarn, pan Bidault spokojnie uczy historii — historii na swoją modłę — w pewnym liceum, które nie jest daleko. Nie wiem, gdzie znajduje się pan Gay, ze swymi wyrzutami sumienia czy też ze swoją nieświadomością. Ale nie jest powiedziane, że sprawiedliwość będzie zawsze bezsilna; jej mocna pięść może pewnego dnia spaść na tych zbrodniarzy". Niecierpliwy wobec braku reakcji, Maurras powtarza we wrześniu tegoż roku nazwiska Bidault, Gay i Champetier de Ribes jako tych, którzy „uprawiają kampanię na rzecz swych drogich Anglików", dodając: „W tej to stronie dobrze poprowadzone śledztwo pozwoliłoby znaleźć autentycznych konspiratorów". Kiedy w parę miesięcy potem Gestapo wpada do biura Bidault i aresztuje wszystkich zastanych tam współpracowników, ówczesnego przewodniczącego Narodowej Rady Oporu, Gestapowcy mają w ręku odnośne numery „Action Francaise". — Ofiarą denuncjacji Maurrasa pada rodzina Fornier („która się trudni propagandą gaullistyczną i anty-narodową", pisał Maurras w **Action Française** 16 i 17 października 1943) oraz ukrywający się przed prześladowaniami rasowymi publicysta Wurms („chcielibyśmy mieć wiadomości o niejakim Rogerze Wurmsie, milionerze i działaczu Frontu Ludowego, który figurował pośród mówców Ligi Międzynarodowej przeciw antysemityzmowi. Jesteśmy ciekawi, czy szlachetna ta rodzina znajduje się w obozie koncentracyjnym czy w Anglii czy w Ameryce, czy w Afryce, czy może przypadkiem zachowała ona prawo panoszenia się w resztkach swej wspaniałości w jakimś uprzywilejowanym zakątku naszego Lazurowego Wybrzeża". Nikt, nawet prasa zony okupowanej, nie umiał strzelać tak celnie jak Maurras.

Obrona, jaką przedstawia oskarżony jest prosta. Żądał terroru wobec wrogów Francji, wobec nie-Francuzów, a ruch oporu nie był wedle niego francuski, bo demokracja nie jest francuska. Wtedy, pod okupacją, wypowiadał się dokładnie („trzeba będzie śledzić pewną ilość indywiduów podejrzanych, które nie są Francuzami, uważam bowiem tych terrorystów za nie będących Francuzami"), i na procesie powtarza: „Gdybym teraz znajdował się w podobnej sytuacji, postępowałbym tak samo". Adwokaci dodają argumenty „racjonalne". Maurras żądał represji wobec ruchu oporu, bo **résistance** działała przeciw „legalnemu rządowi" (Vichy), uprawiała „bandytyzm" (zbrojna akcja maquis), i prowokowała interwencję niemiecką, której za wszelką cenę należało uniknąć. Bo — i tu obrona znowu przytacza dowody germanofobii Maurrasa. Nazwał kiedyś Niemców „najnikczemniejszą rasą, jaką kiedykolwiek zwymiotowała ziemia". Podobno miał łzy w oczach, kiedy „zone libre" przestała istnieć. Działał zawsze w myśl swych przekonań. Nawet teraz, na rozprawie, nie rozstał się ze swą złotą **francisque**, toporkiem Pétainowskim (nie żeby obrazić sędziów, ale jako wyraz wierności dla swego marszałka).

Zresztą obrona ma z Maurrasem trudną sprawę, bo oskarżony mówi same ogólniki, nie odpowiadając na żadne z pytań szczegółowych. „Nie, nie i nie! Nie mam zamiaru odpowiadać na te szczegóły, zanim nie dam generalnej ekspozycji tej sytuacji, która była mi narzucona... Prowadziłem zawsze politykę narodową, głęboko francuską!". Rzuca się, czerwienieje na twarzy i wymachuje rękoma. „Nie pozwala". „Nie dopuszcza". „Zabrania". Kiedy mu wreszcie przewodniczący zwraca uwagę, żeby zachowywał się mniej gwałtownie, wybucha: „Panie Prezydencie! To nie w moich słowach jest gwałt. Gwałt jest w sytuacji. Gwałt jest w tym, że Pan jest na tym miejscu, na którym Pan jest, a że ja tam nie jestem!".

Uczony, humanista, filozof, wykształcony na największych arcydziełach świata. Dziedzic największej z kultur ludzkości, świadomy i dumny ze swego dziedzictwa. Patriota nieustraszony i do końca wierny swojej ojczyźnie. Cóż może on odpowiedzieć zgrai demokratów, która dorwała się władzy. Najwytworniejszy umysł w całej Francji, a przy tym najdowcipniejszy i najśmielszy polemista, czy może teraz polemizować z ludźmi o tyle od niego niższymi intelektualnie? Czyż nie pisał w swych dziełach o tym, że ojczyzna to cywilizacja, a cywilizacja to tradycja. Cóż dla tej cywilizacji (dla Francji, wiecznej Francji) znaczy w ogóle życie paru czy nawet kilku tysięcy ludzi. To ludzie bez kultury i tradycji wymyślili prawa człowieka. Czyż nie uzasadniał, że Rewolucja francuska była buntem barbarzyńców, zbrodniarzy i głupców? Czyż nie udowodnił niższości mentalnej ojca całego nieszczęścia Francji, J. J. Rousseau? On, którego czcił cały świat za obronę tradycji klasycznej („mój humanizm klasyczny pozwolił mi znaleźć język, przemawiający do wszystkich kulturalnych elit narodów tej ziemi" — wykrzykuje Maurras na procesie) on, dziecko najlepszej, najklasyczniejszej z ziem francuskich — Prowancji (nikt nie rozumiał Mistrala tak, jak on), czyż może odpowiadać sędziom — może barbarzyńcom z północy, a może zgoła metekom? Odpowiadać na pytania, dlaczego denuncjował barbarzyńców i meteków? Niechaj ludzie czytają jego książki — stamtąd dowiedzą się prawdy, niezepsutej gangreną demokracji, prawdy francuskiej, klasycznej, greckiej.

— Czytaliśmy, i na ich podstawie sformułowaliśmy prawdopodobnie adekwatny proces myślowy Maurrasa, kiedy męczono go i nudzono szczegółowymi pytaniami. Ale Maurrasa czytali wszyscy. Czy mógł jednak ktoś uwierzyć, że tak wybitny artysta i myśliciel mógł dopuszczać się pospolitych denuncjacji. „Jak ten człowiek doszedł do tego!" — woła prokurator. „Wszyscy świadkowie powiedzą, że on był niezdolny do zdrady. A jednak są fakty, pewne, nie ulegające żadnej wątpliwości".

W działalności politycznej Maurrasa wyłączony jest wszelki moment korzyści osobistej. Maurras był człowiekiem żyjącym bardzo skromnie. Kilkakrotnie odtrącał z pogardą pieniądze, ofiarowywane mu przez Niemców, a do przyjęcia bardzo zresztą ograniczonej pensji redaktora przyjaciele musieli go niemal zmusić. Oczywiście mowy też nie ma o tym, żeby Maurras mógł mieć najmniejsze korzyści materialne z denuncjowania patriotów w swym piśmie. Bezwzględną „uczciwość" Maurrasa podkreślamy z całą satysfakcją. Oczywiście nie jako rycerski akt kurtuazji wobec pokonanego nieprzyjaciela. Przeciwnie. Kurtuazja, honor, wielkoduszność itd. są w gruncie rzeczy tylko chwytami, stosowanymi między chwilowymi nieprzyjaciółmi, u których jednak wspólnota interesów jest w gruncie rzeczy większa niż czasowy antagonizm. Dotąd jeszcze wspomina się z rozczuleniem we Francji, jak to na polu bitwy pierwszej wojny światowej Niemcy, dowiedziawszy się, że wśród poległych znajduje się Péguy, prześcigali się z Francuzami w trudzie odnalezienia jego zwłok. Ale Péguy był filozofem idealistycznym, pokrewnym dzisiejszym egzystencjalistom, i służył swoimi pismami owczesnej ogólnoeuropejskiej strukturze politycznej i społecznej, wspólnej chwilowo pozbawionym państwom. Wielkoduszność Niemców była w tym wypadku aż nadto zrozumiała — przetłumaczalna na kategorie realnego interesu. Nie ma się co roztkliwiać. W naszych czasach (maj 1947) był głośny we Francji proces agenta Gestapo i oprawcy Massuy. Wielu świadków torturowanych niegdyś osobiście przez Massuy'ego, „stwierdzało rycerskość" kata. Torturował on podobno tylko wtedy, kiedy „musiał" uzyskać ważne zeznanie, nie zadając cierpień „niepotrzebnych". Ofiary, które bohatersko znosiły tortury, wzbudzały jego „podziw" i „szacunek", był natomiast bez litości dla tych, którzy ulegli torturom i „sypali". Massuy z dumą słuchał tych zeznań i jeszcze na procesie powtarzał „słowa uznania" dla swych dawnych ofiar. Po cóż świadkowie opowiadali w sądzie te i inne rzeczy, wyżywając swą „wielkoduszność", jeżeli nie po to, by, broniąc „honoru" oprawców, dołożyć nieznacznie swą cegiełkę myśli dla budowania (może często nieświadomie) opinii, potrzebnej burżuazji, opinii, odmawiającej ostatniej wojnie wszel-

---

*) Reakcyjny tygodnik angielski **The Tablet** pisał parę miesięcy po aresztowaniu Maurrasa: „Jeżeli Maurras zostanie skazany, Niemcy będą szydzić: Francuzi znaleźli sposób „żeby zabić sami największego naszego wroga".

**) Zwracamy uwagę na wyrażenie „katolicyzm tradycyjny". Maurras - nacjonalista nie był wierzącym katolikiem. Religia chrześcijańska okropnie zanieczyściła świat od dwóch tysięcy lat" — rzuca w rozmowie z Dimierem - katolikiem. (E. Roussel: „Les Pensées Maurrassiennes").

FEDERICO GARCIA LORCA

ŚWIĘTY MICHAŁ

Dźwigając kosze pełne
Słoneczników pod chmury,
Muły i cienie mułów
Idą w góry, w góry, w góry.

Ogromnym mrokiem wąwozów
Ślepia ich są oblepione.
W głębi powietrza skrzypią
Zorze pożółkłe i słone.

Niebo, białe od mułów,
Zamyka rtęciowe oczy
I oddech swój z samotności
Westchnieniem przedśmiertnym łączy.

Wody, obłędne wody
Przy czarnych skalnych wykuszach
W szorstki chłód się ubrały,
Żeby ich nikt nie ruszał.

* * *

Pyszniąc się piękną postacią
Rozświetlony lampami,
W swojej alkowie na wieży
Śpi Święty Michał nad nami.

Z naiwną obłudą udaje
Oswojonego, ale
Pośród szaleństw słowiczych
Słodki gniew wzbiera w Michale.

Efeb tysięcy nocy,
Obcy kwitnącym ogrodom,
Śpiewa pod szkłem staroświeckim
I pachnie kolońską wodą.

* * *

Morze na brzegu tańczy
Poemat balkonów wysokich
I pustoszeją księżyca
Rozkołysane zatoki.

Przychodzą robotnice
Fabryczne, gryząc pestki.
Wady ich są podobne
Kragłym planetom niebieskim.

Przychodzą kawalerowie
I damy z profilem młodym,
Co ofiarują czułe
Westchnienia słowiczym ogrodom.

Przychodzi biskup z Manilii,
Szafranowy od chorób
I omdlewając, odprawia
Mszę dla dam i siniorów.

* * *

Strojny w jedwabne szaty,
Obciążony perłami,
W swojej alkowie na wieży
Wznosi się Michał nad nami.

Michał, pan gwiezdnych stropów,
Cały w przepychu arabskim,
Władca liczb nieparzystych,
Ubrany w mulników wrzaski.

Wolny przekład
Włodzimierza Słobodnika

kiego charakteru socjalnego, rewolucyjnego, politycznego w najszerszym sensie, bo takie wartości jak „honor" okazały się trwalsze od całej rzekomej walki ideologicznej, ożywiając nawet serca katów.

Jest więc zrozumiałym, że jeżeli podkreślamy „uczciwość" Maurrasa, nie chodzi nam o to, żeby „przyznać lojalnie.....". Robimy to wyłącznie po to, żeby uniknąć jakichkolwiek cieni, przeszkadzających w zrozumieniu tego człowieka. Zresztą u ludzi bardzo wysubtelnionych, wysublimowanych do najwyższego stopnia (czyż nie oddać Maurrasowi tego komplementu), uczciwość osobista jest cnotą niemal znikomą etycznie. Człowiek, wierzący w prawdę swego poglądu na świat, walczący o nią i tyle już razy bliski zwycięstwa, które ma mu dać szczęście, dlaczego miał być „nieuczciwy", osłabiając przez to (i to jak trywialnie!) swój prestiż polityczny? Nie, jest oczywistym, że Maurras działał bezinteresownie, „z najczystszych pobudek ideowych". Problematyczne jest tylko jedno, mianowicie, czy same pobudki ideowe Maurrasa były czyste.

Maurras był patriotą. Złożył liczne dowody swojej miłości do kraju i nie myślimy ich kwestionować. Brasillach, Drieu la Rochelle czy Béraud, to już inna sprawa. Ci pomaszerowali stereotypowym szlakiem, wytkniętym przez dialektykę idei, w które wierzyli. Patriotyzm burżuazji wszystkich krajów zdegenerował się, przekształcając się w jakiś intelektualny nacjonalizm międzynarowy [1]). Wyjaśnijmy. Idea ojczyzny, która urodziła się w osiemnastym stuleciu, początkowo służyła tylko mieszczaństwu. Proletariat był przez nią odepchnięty. Lewica 19-go stulecia, walcząc z burżuazją, która jest patriotyczna, a w każdym razie za taką się podaje, z konieczności ulegała emocjonalnemu procesowi internacjonalizacji [2]). Dzięki Marksowi, który jasno zdawał sobie sprawę ze znaczenia patriotyzmu dla rewolucji społecznej [3]) proces internacjonalizacji został powstrzymany i biedny, o którym Voltaire powiedział, że „nie ma ojczyzny", ojczyznę tę odnalazł. Proletariusz „odnajdujący" ojczyznę, to proletariusz, walczący o nią (Ten świat jest tak urządzony, że nawet prawo do uczuć trzeba sobie wywalczyć). W konsekwencji powstają dwa patriotyzmy: patriotyzm klas uprzywilejowanych i młody patriotyzm ludowy. Co robi burżuazja? Widząc w przerażeniu, jak wymyka się jej monopol na patriotyzm, wyśrubowuje ona swój patriotyzm do najwyższych granic sublimacji, formalizuje go i sakralizuje. Ojczyzna przestaje być ukochaną ziemią wraz z domem rodzinnym, przyjaciółmi i towarzyszami, której broniąc „le bon Francais toujours vaincra" (Rewolucja francuska), ale staje się czymś podobnym do przedmiotów czci religijnej, tabu sakralnym **noli me tangere.** Nie wyżywa się teraz nigdzie tak dobrze jak w paradach wojskowych i szumie sztandarów. To jest punkt węzłowy dialektycznego procesu idei ojczyzny, punkt, do którego Maurras i Drieu la Rochelle czy Brasillach idą ręka w rękę. Pozostawmy na chwilę Maurrasa samego i idźmy za Brasillachem (robimy to ze względu na konieczność dokładnej specyfikacji sprawy Maurrasa). A więc: patriotyzm lewicy grozi coraz wyraźniej obaleniem porządku socjalnego świata. Cóż się więc dzieje? Tak jak kiedyś lewica w konieczności utrzymania swej dynamiki ulegała procesowi internacjonalizacji, temuż procesowi zaczyna teraz podlegać prawica. Powstaje dziwoląg: nacjonalizm międzynarodowy. Solidarność faszystów francuskich z „towarzyszami walki" w Hiszpanii frankistycznej, z faszystami angielskimi (Mosley), belgijskimi (Degrelle), rumuńskimi (Codreanu) czy polskimi (ONR i „młoda" sekcja Ozonu i Stronnictwa Narodowego).

Rodzą się sytuacje dziwaczne i paradoksalne. Maurras i jego pokolenie nie rozumieją już dobrze nowych czasów, nowego nacjonalizmu. Możemy wierzyć Maurrasowi, kiedy gwałtownie odżegnywuje się od niego na procesie: „Zdrajcy z „Je suis partout" zdradzili, ponieważ zwrócili się do doktryn tzw. „białej międzynarodówki", do systemu unii reakcyj przeciw rewolucjom, do tych nędznych namiastek międzynarodówek czerwonych, które są akurat tyle samo warte. Myśmy zawsze podkreślali naszą wrogość nieubłaganą wobec tych niebezpiecznych błazeństw. My żyjemy w stuleciu narodów. Ja nigdy nie uprawiałem teorii autorytetu czy monarchii czy narodu; **ja wypracowałem jedynie i wyłącznie teorię Narodu Francuskiego".**

Proces internacjonalizacji prawicy postępuje coraz szybciej. Z dawnego patriotyzmu zostaje już tylko sama „formalistyka emocjonalna" [4]), i spadkobiercy — **bon gré mal gré** — dawnych patriotów z pod Valmy kończą w kulcie „Nowej Europy" atakując już swych dawnych mistrzów za szowinizm i „brak" zrozumienia" dla „nowego porządku" (Brasillach). Ale — formalistyka emocjonalna zostaje, stąd ów uścisk dłoni prokuratora i „heroiczne" „Vive la France!" przed plutonem egzekucyjnym.

Wracamy do Maurrasa. Urodzony w roku 1868 był już za stary, żeby nadążyć za biegnącym demiurgiem prawicy (Nie zapominajmy, że czas chłonności intelektualnej człowieka jest ograniczony). Okres chłonności Maurrasa przypada na: 1) nastroje odwetowe po klęsce 1871 roku (Drumont, Boulanger) [5]), 2) wpływ Mistrala i rodzący się patriotyzm prowansalski — kult „gleby ojczystej", 3) „defetyzm" kulturalny lewicy, podlegającej w tym okresie wpływom niemieckim, 4) sprawa Dreyfusa i ataki lewicy na klasy uprzywilejowane.

Zamożny i utalentowany członek burżuazji przejmuje się tym wszystkim, co dał mu do dyspozycji czas jego chłonności. Pierwsze ćwierćwiecze nowego stulecia pogłębia tylko jego nabyte wcześniej przekonania. Dreyfusiści zwyciężają i prawica wychodzi z wielkiej afery skompromitowana. Burżuazja dla celów obronnych skupia się w wielkich obozach politycznych i intelektualnych — pierwsze idealistyczne ataki na pozytywizm, pierwsze jaskółki katolicyzmu intelektualnego. Na pograniczu prawicy i lewicy powstaje bergsonizm, ażeby, umocniwszy swe stanowisko, cały swój ładunek intelektualny i emocjonalny ofiarować prawicy [1]). Lewica francuska, porozbijana na partie i koterie, bez przywódców o naprawdę rzetelnej kulturze filozoficznej — kulturalny defetyzm robi dalsze postępy — dadaizm, futuryzm, surrealizm; burżuazja reprezentuje „zdrowie" (zobaczymy zaraz jak to się zmieni).

Oto źródła i części składowe (w ich działaniu tak pozytywnym, jak negatywnym) „rewolucyjnego tradycjonalizmu" Maurrasa. Naturalna nienawiść członka klasy uprzywilejowanej do lewicy znajduje swe „ideologiczne podstawy" w przywiązaniu do tradycyjnych wartości klasycznej kultury francuskiej. Nienawiść klasowa łączy się z nienawiścią do tego, co „Francję rozkłada" (romantyzm i „sztuka defetystyczna"). Naturalna u Francuza wrogość do Niemiec **(revanche)** znajduje swe uzasadnienie w niemieckim charakterze modnych we Francji prądów filozoficznych i estetycznych. Utalentowany pisarz zbija wszystkie momenty w jedną całość. Polityczny pogląd na świat staje się jasny i schematyczny: prawica — klasycyzm, tradycjonalizm, germanofobia, patriotyzm, historyzm. Lewica — neoromantyzm (surrealizm, futuryzm itd.). Maurras imputuje też lewicy bergsonizm — tu jest jego błąd i już anachronizm), germanofilia, kosmopolityzm. Ustrojem, który gwarantuje wpływy lewicy jest ustrój republikański — stąd u Maurrasa rojalizm i hierarchizm, w swej formie wysublimowanej doczepiony do już i tak istniejącego antydemokratyzmu autentycznego.

„Klasycyzm" Maurrasa, wzbogacony o cały ładunek emocjonalny poglądów politycznych pisarza, zanieczyszcza z kolei własne swe źródło — kult hellenizmu. „Grekiem" pozostaje Maurras wprawdzie do końca, ale tylko greckim oligarchą. I do Aten starożytnych przenosi swą nienawiść do demokratycznej formy rządów: „Mój przyjaciel Maurice Barrès dał publicznie wyraz swemu zdziwieniu, że wyniosłem z Aten tak głęboką nienawiść do demokracji. Gdyby Francja współczesna nie nauczyła mnie tego uczucia, byłbym je wyniósł niewątpliwie ze starożytnych Aten. Krótki okres tego, co nazywa się demokracją w starożytności, dał mi do myślenia, że istotą tego ustroju jest konsumowanie dóbr, które stworzyły okresy rządów arystokracji [2]). Tym stwierdzeniem Maurras daje dowód absolutności procesu „polityzacji", któremu poddał także filar swego poglądu na świat: klasycyzm. Demiurg polityki rozbił w proch najczystszą pozornie i najintymniejszą miłość Maurrasa. Wszystko miało wyrastać z tej miłości. Hellada miała usprawiedliwić wszystko, nawet późniejsze denuncjacje, a tymczasem sama się stała ofiarą temperamentu polityka-reakcjonisty, została okaleczona: Ateny bez demokracji.

Czy Maurras rozumiał sam perwersję swego „klasycyzmu"? Sądzimy, że chyba nie. Pchany naprzód przez swój olbrzymi temperament, targany nienawiścią i resentymentami osobistymi, być może (bądźmy psychologicznie wyrozumiali), że, pisząc swe donosy imienne i bezimienne, zapominał czasem, że są one śmiercionośne. Być może. Nie przesądzamy niczego. Nie jest ambicją niniejszego szkicu uzasadnianie łatwego twierdzenia, że Maurras działał zbrodniczo. Zrobił to prokurator. Nie było wśród członków trybunału nikogo, kto ośmieliłby się podać w wątpliwość oskarżenie. Ambicją niniejszego szkicu jest m. in. próba wykładni czasu, w którym działał polityk Maurras aż do pamiętnej rozprawy styczniowej w Lyonie. Czas Maurrasa nie zatrzymał się jednak z chwilą zapadnięcia wyroku. Pobiegł chyżo naprzód i dorzucił jeszcze parę, może bardzo istotnych, poprawek do naszych medytacji.

Ostatnia wojna była nie tylko — wbrew opinii kół reakcyjnych — zbrojną walką sprzecznych interesów gospodarczych i imperialistycznych — podkreślamy „nie tylko", bo dziś nie ulega już chyba wątpliwości, że interwencja Anglii i Stanów Zjednoczonych nastąpiła wyłącznie z uwagi na zagrożone interesy tych dwóch państw, potęg w pierwszym rzędzie kapitalistycznych i imperialistycznych. Skutkiem sowieckiego wkładu wojennego i skutkiem niemożliwości jakiegokolwiek **modus vivendi** lewicy politycznej z okupantem faszystowskim, która to niemożliwość wyraziła się w **résistance** ludowej i w krwawym prześladowaniu marksistów w całej Europie niemieckiej, wojna, początkowo stereotypowo imperialistyczna, pozwoliła na wykładnię rewolucyjną, ludową. Dziś trwa jeszcze „wojna o wojnę", aspekt imperialistyczny walczy z aspektem rewolucyjnym. Sprawa gmatwa się, pełno pytań i nieprzemyślanych argumentów: „a przecież". To „przecież" nie istniało we Francji — i tu jest dziś jej szansa polityczna. Okupant dał Francji względną swobodę, pozwalając na rozkwit tak wspaniałych okazów fauny politycznej jak przede wszystkim Charles Maurras. Mówiąc wciąż o Francji, przewaga elementów rewolucyjno-ludowych w **Résistance** pozwoliła na dalszy rozwój dialektyczny idei ojczyzny. Walka, jaką komuniści francuscy prowadzili z wrogiem, była wyrazem zarówno patriotyzmu jak i rewolucyjności (podczas kiedy burżuazja francuska jest albo wręcz „pétainowa", albo, mimo swej germanofobii, nie uczestniczy w oporze, a jeżeli uczestniczy, to wkład jej był za mały, żeby mógł zmienić charakter walki). Proces unarodowienia proletariatu w najzdrowszym sensie i demokratyzacji „ojczyzny", jaki zaczął się w 19-tym wieku, zostaje przyśpieszony. Zwycięstwo daje nadzieję ludowi, że tym razem on stanie się czynnikiem decydującym w państwie. Partia komunistyczna wychodzi z wyborów jako pierwsza partia Francji. Proces dialektyczny idei ojczyzny i powaga polityczna pierwszej partii Francji ma oczywiście swoje reperkusje w kulturze. Lewica zmuszona dotąd w pewnym sensie przez burżuazję do szukania swej superstruktury tzw. przez prawicę zdegenerowanej, odwraca się dziś od tych kierunków, szukając sztuki zdrowej, klasycznej. Rozbrat marksizmu z surrealizmem nastąpił oficjalnie z powodu powstania frontu ludowego z jego pozytywną polityką kulturalną, której nie mógł i nie chciał przyjąć surrealizm ortodoksyjny. Ale zerwanie to miało początkowo tylko konsekwencje natury personalnej. Proces dialektyczny dokonuje się dopiero teraz, na naszych oczach. Prawica, która tak gwałtownie atakowała „sztukę zdegenerowaną" jako „bolszewicką", dziś sama szuka nadziei i podniet w kierunkach jeszcze wczoraj przez siebie zwalczanych.

Małym przykładem ilustrującym ten dramat dialektyczny idei, który towarzyszy walce socjalnej i ekonomicznej, jest krótka historia egzystencjalizmu (trudno o kierunek bardziej „zdegenerowany" i „niezdrowy"). Rok 1944 (Grudzień) — Sartre ogłasza swoją „mise au point" w organie marksistowskim „Action". Egzystencjalizm ma w pierwszych miesiącach powojennych oblicze polityczne lewicowe. Potem następuje „glissement à droite". Jeszcze na wiosnę tego roku, kiedy pisałem dla „Kuźnicy" list o egzystencjalizmie, mogłem stwierdzić, że nowy kierunek zwalcza i lewica i tradycyjna prawica. Od tego czasu, odpowiadając z całą dialektyczną konsekwencją, do której zdolne są idee, na zaostrzenie się sytuacji polityczno-ekonomicznej we Francji i w świecie, stanowisko egzystencjalizmu się wyjaśnia i prezentuje nową „mise au point". Dziś jest on już urzędowo filozofią warstw uprzywilejowanych i czynnikiem retardującym i konserwatywnym. Co więcej — modna filozofia ma już silne filiacje w Ameryce (i mimo „Putain", mimo wszystko Sartre został w Ameryce **poeta laureatus**).

Heraklitejskim „wszystko płynie" kończymy nasz szkic. Dialektyczny dramat idei, którego jesteśmy świadkami, osiąga swój punkt kulminacyjny. Patriotyzm, zdrowa sztuka i filozofia — dla obozu ludowego. Kosmopolityzm, degeneracja i rozpacz — dla reakcji. Biedny Maurras! Całe życie polityczne przebiegło mu w łajdactwach, żeby skończyć w zbrodni. Ale, kierując zbrodniczą akcją kamelotów, a potem pisząc donosy dla użytku Gestapo, wierzył w każdym razie, że robi to dla zdrowej, tradycyjnej, wiecznej Francji. Dziś demiurg historii, demiurg uchwycony w błyskach geniuszu Marksa, tę Francję mu odebrał. Jacyś ludzie manifestują jeszcze swe uwielbienie dla uwięzionego lwa reakcji. Może tych wyrazów uwielbienia dla wielkiego oprawcy będzie więcej, imię Maurrasa ma swą wymowę i nie u wszystkich wywołuje ono „emocje repulsywne". Jedno jest pewne. Ludzie ci to nie są już dawni „klasycy", „antyromantycy" i czciciele „clarté française". Klasycy, antyromantycy i czciciele Kartezjusza znaleźli się w obozie postępu. Nie przesądzajmy niczego; ale nie zdziwimy się, widząc jakiś odblask kultu Maurrasa w **revue** egzystencjalnej lub surrealistycznej, romantycznej i duchowo germanofilskiej. Biedny Maurras.

Tadeusz Juliusz Kroński

---

[1]) por. kapitalną książkę H. Lefebvre'a „Le nationalisme contre les nations" (Paryż 1937).

[2]) „Antypatriotyzm jest tylko postacią protestu — pełnego zresztą nieporozumień — przeciw szarlatanom patriotyzmu" (Rappaport: Encyclopedie socialiste").

[3]) W liście z 20-go czerwca 1866 „W sprawie narodowości", Marx pisze: „Reprezentanci Młodej Francji (a nie są to robotnicy) dali wyraz idei, że pojęcie narodowości i samych narodów są to anachroniczne przesądy. Pomysł ten to Stirneryzm zproudhinizowany". „Od 15-go stycznia 1866 Marx występuje przeciw „lewicowcom", którzy krytykują pro-polskie stanowisko pierwszej międzynarodówki" (Lefebvre „Le nationalisme contre les nations").

[4]) por. cytowane już dzieło Lefebvre'a.

[5]) por. A. Bayet. „Pétain et la cinqieme colonne" (1944): „Sprawa Boulangera popycha radykałów ku pacyfizmowi".

[1]) Maurras - klasyk ma obrzydzenie do tego prądu bezwzględnie romantycznego i atakuje go gwałtownie, co już jest błędem ze strony Maurrasa — polityka.

[2]) „Le voyage d'Athenes".

ARESZTOWANIE ANTONIA EL CAMBORIA NA DRODZE SEWILSKIEJ*)

Antonio Torres Heredia,
Z rodu Camborio, idzie
Do Sewilli z pałką wierzbową,
Żeby wziąć udział w corridzie.

Bardziej smagły niż księżyc zielony,
Pogodnie i lekko kroczy
Czarne i długie włosy
Spływają mu na oczy.

Beztroski, w połowie drogi
Dojrzałych cytryn narwał
I rzuca je do wody,
By złotem zagrała jej barwa.

Beztroski, w połowie drogi
Na udeptanej darni
Został aresztowany.
Związali mu ręce żandarmi.

Jak w długi płaszcz torreador,
Dzień się w wieczór owinął,
I powoli odchodzi,
Powiewając nim nad doliną.

Mdleją gaje oliwne,
Błagając o chłód wieczorny.
Wiatr ku nim pędzi, jak jeździec,
Gór przesadzając zapory.

Antonio Torres Heredia
Z rodu Camborio, (o wstydzie!)
Wśród pięciu kapeluszy
Żandarmskich pokornie idzie.

— Antonio, jakżeś się zmienił!
Gdybyś był prawdziwym Camborio,
To pięć strumieni krwawych
Trysnęłoby w zorzę wieczorną!

Nie jesteś cygańskim synem,
Nie jesteś Camborio śmiałym
Jak widać już nie ma Cyganów,
A góry odważnych znały!

Noże ich zardzewiały
I nigdy nie błysną mężnie!..
Wieczorem o dziewiątej
Camborio został więźniem.

Wieczorem o dziewiątej
Pochłanią go więzienie,
Tymczasem lemoniadą
Żandarmi gaszą pragnienie.

Tymczasem niebo połyska
Jak koński grzbiet po galopie.

Wolny przekład
WŁODZIMIERZA SŁOBODNIKA

---

*) Camborio — ród cygański, znany z odwagi.

JERZY PUTRAMENT

KÓZKO — OJCIEC ODMAWIA *)

WIECZOREM długo stali na Pradze, most drewniany nie mógł poradzić sobie z natłokiem maszyn, Warszawa świeciła kilkudziesięciu nędznymi latarniami, wyglądała stąd na małe, choć rozciągnięte miasteczko. Paręset metrów na lewo sypały się zielone iskry, łyskały reflektory: pracowano przy moście Poniatowskiego.

Szedł potem ciemnymi wąwozami rum. Kościół Aleksandra, aleje z falami zapachu przegrzanej zieloności. W urzędzie ruch był w najlepsze. Czekał z godzinę na swego referenta, dziesiątki ludzi wchodziło i wychodziło, chuda, młoda dziewczyna, niby pilnująca wejścia, dawno zrezygnowała z regulacji tego ruchu, siedziała, garbiąc ramiona, jednym okiem gapiąc się na gazetę. Połowę dużego pokoju oddzielały teraz tarcze dykty, budowano jakieś nowe przegródki.

Wreszcie, niewiele przed północą, Kózko się zniecierpliwił, wstał. Dziewczyna usiłowała protestować: obywatel Góral jest zajęty. Wszedł, nie pukając.

Inny, wysoki pokój z otwartymi drzwiami na balkon i noc. Przy biurku siedział niski, siwy, w okularach. Pięć telefonów koczowało dokoła niego na biurku, na podłodze. Dwóch ludzi siedziało na krzesłach przed biurkiem. Czterech innych stało na środku pokoju. Na balkonie Kózko dojrzał kilka żarzących się papierosów. Jeszcze dwóch interesantów siedziało zgodnie w kącie na maleńkiej kanapce. W innym kącie, na lewo od drzwi ,stał okrągły stoliczek z resztkami wystygłego obiadu, żwawo sprzątanymi właśnie przez jakiegoś młodego drągala.

— Jak się masz, Kózko! — siwy poderwał się z miejsca, skoczył do Kózki, odgarniając wprawnym ruchem z prawa i z lewa swoich nieruchawych interesantów. — Jak się masz, stary !— chwycił go za rękę, pociągnął energicznie do stolika, — właśnie czekałem na ciebie, mam ważną...

Telefon, ten ze stolika, zatrajkotał, siwy wrócił na miejsce: Ha-lo! No, Góral. No słucham. Dobrze, niech przyjdzie. Zaraz? Może być zaraz. Do Kózki: — Więc, rozumiesz, mam... — Inny telefon, ten miał głos aksamitny, matowy warknął dwa razy i Góral znowu za biurkiem: — Halo! No, Góral. Owszem. Tak, owszem. Nie teraz. Teraz jestem wolniejszy. Dobrze, czekam. — Rzucił słuchawkę, — Więc rozumiesz... — teraz wkroczył ten z podłogi, pogwizdując, zaciągając, sycząc. — Ha—lo, no Góral...

Kózko czekał pięć minut. Na biurku krzyżowały się dwa łańcuchy górskie papierzysk. Talerz z melancholijną papką kaszy mannej, rozjaśniony różowym płatkiem mięsnej konserwy dotarł aż do kałamarza i tu utknął, zahamowany w swoim marszu do góralowego żołądka przez świeżą, największą lawinę gazet i listów. Papieros dymił beztrosko na popielniczce.

Góral skończył, z tym samym, niegasnącym porywem życzliwości do Kózki — więc...

Tym razem zagrały dwa naraz, ze stolika i biurka. Góral chwilę się wahał, potem wziął ten z biurka. Ten ze stolika nie dał za wygraną, co pięć sekund dopominał się płaczliwym jazgotem. Góral zaczął się niecierpliwić. Skończył z jednym, drugiego na złość nie ruszał. Zapukano, wszedł ostronosy, zgarbiony: obywatel Mokrzycki zapowiadał mnie właśnie...

Ich rozmowa trwała z kwadrans, posiekana co pięć sekund niebywałym uporem tego ze stolika. Góral wreszcie skończył z ostronosym. Z nienawiścią zezował na krzykliwe, czarne pudełko. Jeszcze parę minut ciągnęła się ta bitwa nerwów. Wstrętna maszyna okazała się silniejsza Góral z pasją chwycił słuchawkę:

— Ha—lo! Słucham. No Góral. Czego? Czego? Pomyłka! Nie, żaden urząd miar i wag! Po—mył—ka!!!

Wyskoczył zza biurka, chwycił za rękę Kózkę, pociągnął na balkon. Kupka papierosów okazała się trójką namiętnie dyskutujących mężczyzn. Przyjaciele Górala owacyjnie: no, wreszcie, czekamy dwie godziny...

Góral ich wyprosił do pokoju: za chwilę, obywatel specjalnie przyjechał z Lublina.

Odetchnął, otarł czoło, rzucił papierosa i zaraz zapalił innego:

— Więc, jak tam? Jak dojechałeś dobrze? Jak tam idzie?

Kózko zaczął opowiadać. Telefon ryknął na biurku, ale Góral machnął ręką i tylko przerwał Kózce:

— Trzymaj się, najważniejsze, żeby przetrzymać, nie cofać się. Rozumiesz? No, to bywaj. Dobrze, żeś wpadł do mnie wieczorem. W dzień trudno spokojnie porozmawiać. Dużo roboty.

Już wracał do pokoju. Kózko chwycił go za rękaw:

— Słuchaj, wyście mnie wzywali...

— Ach, racja! — Góral chwycił się za czoło. — Zaraz, zaraz, z lasów? Czy z ziem zachodnich? Ktoś ciebie potrzebował. Kto, kto? — Tarł czoło. — Zapomniałem. Te przeklęte telefony. Zaraz, zaczekaj.— Skoczył do telefonu, nakręcił numer. — Władek, słuchaj, przyjechał Kózko. To wyście go potrzebowali? Psia krew!—Inny numer: — Stefan, czy to wy Kózkę?...

Po pół tuzinie daremnych apelów rozłożył ręce.

— Nie da rady. Wpadnij jutro, w południe. Jeśli kto potrzebował, to się upomni. Cześć. Masz gdzie spać?

— Pójdę do syna...

— Syna! Właśnie! To do nich, do nich! Oni telefonowali! Przypominam sobie — odprowadził Kózkę do drzwi, serdecznie go uścisnął. — Bywaj stary. Jutro wpadnij pogadamy.

Kózko zamknął drzwi. Telefony teraz grały na trzy lub cztery głosy nieruszane: Góral załatwiał trójkę z balkonu.

Kózko junior właśnie skończył urzędowanie. Była godzina zero piędziesiąt pięć. Stary przywitał się z nim uściskiem ręki, którego kordialność była trochę fałszywa. Chciało mu się uściskać syna za szyję, ale w pokoju siedział protokulant, i zresztą sam pokój, zbyt suchy, zbyt urzędowy, znakomicie ostudził rodzinne sentymenty. Zamienili parę słów: jak dojechałeś, co słychać. Po dwóch miesiącach niewidzenia się syn wydał mu się znacznie starszy, miał oczy silnie podkrążone, nasadę nosa zaczerwienioną od okularów, ramiona zgarbione jeszcze bardziej.

— Chodźmy do pułkownika. Ma coś do ciebie. Znasz Sinickiego?

Pokój był większy i bardziej przytulny. Postrzępiony dywan przed biurkiem, etażerka z obtłuczonym pieskiem z porcelany, wypchana kukułka na szafie, kanapa i dwa miękkie fotele. Sinicki wyskoczył z bocznego pokoiku.

— Jak się macie! No, co słychać? Siadajcie!—był serdeczny i wylewny, wyciągał papierosy, kazał przynieść herbaty. Stary zaczął się niepokoić: zadużo wstępów, jak na przyjemne wiadomości. Nie wytrzymał.

— Co wy tam chowacie? Gadajcie z miejsca. Możeście wykryli, że jestem w eneszecie?

Sawicki zaśmiał się dosyć sztucznie, popatrzył w kąt z miną: nigdy nie wiadomo, ale oczywiście zaprzeczył.

— Co wam tak śpieszno? Zaczekajcie: Dwa miesiące syna nie widział. Pogadamy sobie o tym, o owym. My także musimy odpocząć na kulturalnej rozmowie. Nie, kapitanie, Ja już słuchać nie mogę o peeselu, eneszecie, kontyngentach, wyborach, i tak dalej Jak jest okazja ze świeżym członkiem porozmawiać... No, co tam u was, w Lubelszczyźnie?

— Ano, nic. Trochę strzelają...

— Ja wiem... — Sinicki pokiwał głową — i kto? Eneszet?

— Przede wszystkim.

— Tak, tak. Ja właśnie mówiłem, kapitanie, lubelszczyzna i białostockie, to eneszet, lewy brzeg — Win. To interesujące zagadnienie, z punktu widzenia socjalistycznego. Tamte tereny były o pół roku wcześniej uwolnione i te procesy są tam starsze. Rozumiecie? Polaryzacja bardziej zdeklarowana, kto nie z nami, to już czysty, niczym nie zamaskowany faszyzm. A tutaj trzeba jeszcze frazesu. No, a jak chłop, ma dosyć?

— Czego?

— Ha, ha, ha! — Sinicki zaśmiał się i zaraz się skrzywił, pochylił się zgasił papierosa, przechylając głowę na ramię, zapytał niewinnie:

— Właśnie, czego ma chłop dosyć?

Stary dostrzegł jakby cień uśmiechu na nieruchomej twarzy syna, zrozumiał, zaczął mówić i zdziwił się własnemu głosowi, który stał się nagle chropowaty i niepewny:

— Chłop ma wszystkiego dosyć. Band ma dosyć, milicji ma dosyć. I bezpieczeństwa także! — prawie krzyknął, zirytowany oporem własnego gardła. — Chłop chce jednego: spokoju.

— Tak, taak. — Przeciągnął Sinicki.— Znaczy się szanowny obywatel w zasadzie podziela opinię posła Bańczyka. Precz z bezpieczeństwem!

Stary wzruszył ramionami:

— Wyście mnie na gadanie zaprosili? Czy może w życzeniu propagandową mowę? Proszę, mogę wygłosić. Jedna mniej, jedna więcej.

— Jeśli na temat: precz z bezpieczeństwem, chętnie posłuchamy. Tego nam nigdy nie dosyć.

— Co wy sobie myślicie? Chłop tylko marzy o bezpiecznikach? Owszem, oceni was należycie, ale pod jednym warunkiem. Żebyście naprawdę zaprowadzili porządek.

— Tak, taak. Słyszeliśmy takie zarzuty, czytaliśmy. To peesel. Nie mówiliście, kapitanie, że wasz ojciec u Mikołajczyka. Więc jak? Rozpuścić bezpieczeństwo, tak proponujecie?

— Nic nie proponuję. Pytaliście, opowiadam. A z peeselem, jego siła w waszych błędach. Błędy usuńcie, a peesel pęknie. Bardzo proste.

— Wcale nie proste. Peesel nie tylko w naszych błędach. Błędów nam nie brak, nie jesteśmy papieżem. Ale choćbyśmy byli, i tak jest miejsce na peesel w obecnej Polsce. Chyba, żeby nagle wymarli wasi kułacy, nowe kupiectwo, spekulanci wojenni. Może nie?

— Ale wtedy by był kupką, nie taką jak teraz.

— Wcale nie kupką. Kupą. I choćbyśmy samych aniołków mieli u siebie też by pyskował. Solą w oku jesteśmy dla tego gnoju powojennego. Mniejsza o nas, niegrzecznie o sobie samych rozmawiać. Powiedzcie raczej coś ciekawego. Jak tam u was w urzędzie? Jakoś to idzie?

— Idzie, idzie. Najlepiej to propaganda. Przysłali takie obrazki: precz z bandytami z AK! Bardzo dobre wrażenie zrobiło. Jeden z województwa odrazu do lasu uciekł. Albo akademię zrobią, jakiś zjazd, święto. Bardzo wesoło. Nasz chłop mocny, w kościele czterdziestogodzinne nabożeństwo wytrzyma, co mu tam akademia. Gadaj choćby do wieczora, jemu nic. Nie można powiedzieć, starają się chłopy. Tam pewnie takich nasadzili, jak mój, niedouczonych.

Sinicki triumfalnie mruknął na Kózkę — syna i to starego zirytowało do reszty. Zaczął pokrzykiwać.

— Co wy sobie myślicie? Żeście wszystkie rozumy pojedli? Jakeście na harbuz mówili: koleja, ja już panie, związek robotników rolnych prowadziłem. Z propagandą knocicie. Żeby chociaż coś do chłopa dochodziło, — nic. Albo ze starostami. Kto ich do nas takich nasyła. Ledwo przyjechał, nic go nie obchodzi, co w powiecie. Głównie, żeby samochód mieć ładny i żeby krzeseł w gabinecie ponastawiać. Skąd się bierze to wielkopaństwo? I zdawałoby się czasem, porządny chłopak, nie bardzo mądry, ale porządny. Ale wlezie do gabinetu, to go parą koni nie wyciągnąć, żeby na wieś, zobaczyć, co gryzie chłopa za kołnierzem. I do niego, ani rusz, żeby chłop trafił. Sekretarki siedzą jedna w jedną, namalowane, pyskate. Ot i starosta, tylko, żeby na akademiach przemawiać.

Później oczywiście zabrał się do urzędów ziemskich, nie przepuścił poczcie, skarbowi, kolei. Zmęczył się, zasapał, otarł pot z czoła. Sinicki już nie przerywał, siedział, kiwając głową, uśmieszek szwendał mu się jeszcze po nerwowych wargach, ale oczy były nastroszone i smutne. Kózko - syn siedział sztywny, resztki synowskiego respektu ostudziły mu twarz, hamowały go, gdy ojczulek ciskał szczególnie ostre słóweczka.

Wreszcie Sinicki chrząknął, stuknął lekko ołówkiem, poniósł głowę.

— Tak, tak, obraz nie wesoły. Napór wroga klasowego wzrasta. Już i starych towarzyszy nie oszczędza. To było do przewidzenia. Czekajcie — wyciągnął rękę, gdy stary się poderwał. — Nagadaliście nam kopę miłych rzeczy. Teraz dzięki wam jużeśmy odpoczęli po harówce, dziękujemy. Teraz poważnie pogadamy.

Stary rozluźnił kołnierz. Przypomniało mu się wezwanie i wstępy Sinickiego. Coś nie miłego nareszcie się wychyli. Krew mu niespokojnie napłynęła do głowy.

— Znacie Karasiewicza? — Sinicki z przyzwyczajenia jakby wystrzelił tym nazwiskiem. — Nie? Nigdyście takiego nie spotkali? A Turonia? Kto to jest? Nie?

Stary z wysiłkiem obracał w myśli twarze i nazwiska. Te dwa były obce. Sinicki skrzywił się, drapnął chudą dłonią, czarne, trochę kędzierzawe włosy:

— Was tam mocno nie lubią, ci eneszetowcy. Zauważyliście, żeby was śledzili?

— Śledzić, nie. Ale wogóle... Tam każdy peperowiec jest pod obstrzałem...

— Wogóle, to my wiemy. Ale na was? Specjalnie? Ostrzeżenia jakieś, wyroki? Nie? Ciekawe. Zresztą może słyszeli, jak wy bezpieczeństwo obrabiacie. Czekajcie, czekajcie, jużeście nam wygarnęli, teraz nasza kolej.

Ale nie odrazu skorzystał z tej kolei. Znowu zapalił, wstał, zaczął chodzić po pokoju, zgarbiony, z rękami po łokieć wykręconymi na plecach. Stary patrzył na niego spod oka, domyślał się już o co chodzi, ogarniało go zniecierpliwienie, wolałby szybciej sprawdzić, czy to co mu zaświtało nagle i nowym przypływem krwi napełniało oddech...

To było to. Sinicki stanął, machnął ręką, ciskając papierosa, zgryzł wargę.

— Szykują się na was. — Urwał, popatrzył w kąt.

— No to co? Wiem i bez was.

— Nic nie wiecie. — Wybuchnął Sinicki. — Nie tak, jak w ogóle na każdego. Na was specjalnie.

Stary wzruszył ramionami:

— Od czego mamy bezpieczeństwo? Takeście się chwalili. Proszę, pokażcie co potraficie. Dobra okazja.

— I pokażemy! — krzyknął Sinicki. — I im, i wam! Musicie stamtąd wyjechać, to wam pokażemy.

— Ha, ha, ha! — Stary bardzo nieszczerze się zaśmiał. — Tak, to każdy potrafi. Jakeście się dowiedzieli kto i co, to chyba każde dziecko może wyłapać, nie? Na mój chłopski rozum...

Sinicki westchnął, stanął przed etażerką, wziął pieska, poobracał w ręku.

— Nie. — ciągnął — nie da rady. Musicie wyjechać. Mówię poważnie.

— Czyście zwariowali? — przerwał stary. — Co wam strzeliło do głowy? Czy to pierwszyzna, że na peperowca czyhają? Mało to u nas ginie? Na to jest walka...

— Czekaj, ojciec. — Kapitan przemówił wreszcie, z trudem mu to przyszło. — Pułkownik wie, co mówi...

— Idź do diabła! Też mi się znalazł, doradca!

— Słuchajcie. — Sinicki zaczął się niecierpliwić. — Nie pora na kokieterię, niby, patrzcie, jaki ja odważny. Mówię, jak partyjny do partyjnego... Jak wam każe partia...

Jak wam partia każe...

— Jak mi partia każe, wszystko zrobię, owszem. Oprócz jednego.

— No, no, ciekawym...

— Jak mi partia każe, żebym ją samą zabijał, nie posłucham!

— Ho, ho, patrzcie, jaki ważny! Jakby bez niego i partia by się rozsypała...

— Może tak, może nie. Próbować nie zamierzam.

— No, właśnie — znowu się wtrącił synalek. — Jeśli tak sądzisz, tymbardziej słuchaj pułkownika. Stukną ciebie, co z partią?

— Głupiś. Stukną mnie, partia zostanie. Ucieknę, partia się rozsypie. Może tro-

*) Fragment powieści

chę, może więcej. Co wy myślicie, ja co dzień mam takie historie. Ja przynajmniej w wojewódzkim. Ale z powiatów, ze wsi przyjeżdżają. Mówią — temu grożą, tamtego napadli. O, właśnie, wczoraj. Co mam im mówić? Proszę, wynoście się, gdzieś na spokojniejszy powiat, co? Ja im mówię: macie zostać, macie walczyć. A sam, i owszem, bo synalka mam w bezpieczeństwie. Dziękuję!

Sinicki nie zwracał na niego uwagi. Ciągle jeszcze cackał się z tym pieskiem, gryzł wargę, ogryzał paznokcie, palił i rzucał liche cygaretki „Wolność".

— Słuchajcie, — zaczął znowu — ja czasem lubię zalewać. Przy badaniach często pomaga, jak się uzupełnia brakujące szczegóły z wyobraźni. Ale teraz mówię poważnie: musicie wyjechać. Przyłapaliśmy tu jednego takiego, drobną płotkę. Nić od niego idzie do Turonia. Dziwne, żeście o takim nie słyszeli. Był w eneszecie, teraz w Winie. Jego program niewiele obchodzi. Jego jedno obchodzi: żeby krew się lała. Nasza, ma się rozumieć. I to on was zapisał sobie w porządku dziennym. Was, pierwszego. To nie tak, jak w ogóle tam u was: peperowiec na wsi, więc może napadną, może nie. Na was napewno. Ja bardzo dobrze rozumiem wasze skrupuły. Ale to można jakoś przyzwoicie urządzić. Partia może was wysłać na przykład na ziemie zachodnie, organizować osiedlenie. Coś takiego. Do cholery, przecież nasi ludzie nie są przyśrubowani do ziemi. Przenosi się przecież tylu, codziennie...

— Słuchajcie i wy... — przerwał stary, zupełnie poirytowany, ale już inaczej, nie na krzykliwo, na trochę drżąco. — Wy poważnie, i ja poważnie. Wyście zalewali, i ja zalewałem. Ja wiem, że nie podołacie tak odrazu, aby tych, co czyhają, schwytać. Zgadzam się z tym, nie da rady. Ale zrozumcie, czym ja jestem, co jestem wart, że siedzę już pięćdziesiąt osiem lat, od urodzenia, na Lubelszczyźnie. Co ja jestem? Mało piśmienny. W urzędzie ze mnie żadnej pociechy. Stary, do wojska, czy do bezpieczeństwa się nie nadaję. Tyle jestem wart, że wiem kto to jest Malisiewicz z Wólki Tomaszowskiej. Że pamiętam, jak trzydzieści lat temu Skinder z Modliborzyc konie kradł od wojska, a teraz wielki działacz ludowy się zrobił. Wiem, kto jest kumem kogo, kto z kim się gryzie, komu na czym zależy. Tyle wart jestem, ani grosza więcej. I, że mnie znają. Wiedzą, że byłem nędzarzem, a teraz też się nie dorobiłem, ani domu, ani mebli jak inni. Że jak mówię, to może się mylę, ale oczu nie mydlę nikomu, ani swoim, ani wrogom. Tak, że przenoście mnie, proszę bardzo, jeśli uważacie za słuszne, ale chyba razem z Modliborzycami, z Tomaszowem, z Kraśnikiem. Inaczej przeniesiecie nie działacza, ale starego dziada.

— Wy tam też zdobędziecie sobie posłuch. Poznają się na was. Za rok będziecie...

— Ani za rok, ani za pięć. Za pięć, to już w ogóle pora mi będzie na słoneczku się wygrzewać. Ja tam do stuletnich nie należę.

Sinicki ruszył na środek pokoju, zaszedł od tyłu starego, musiał jakieś znaki dawać synowi, bo ten się poruszył z zamyślenia, popatrzył na pułkownika, zaczął niezgrabnie się kręcić.

— Dajcie mi spokój — Znowu zaczął stary. — Wy na mnie synalka nie szczujcie, nie pomoże. Co wy sobie myślicie? Przenieść mnie, to też śmierć, tylko wolniejsza. Co ja żyję, aby zjeść, popić, z kobietami się zabawić? Cała moja przyjemność, jak widzę, że może temu pomogę, owego od głupstwa ustrzegę, jak czuję, że się na coś przydaję.

— W ogóle, ojciec ma rację. — Sinicki rozhuśtał przecież kapitana i ten próbował teraz swojej kolejki. — W ogóle, na stałe, mowy nie ma, ojciec musi zostać. Ale może na teraz, na kilka miesięcy. Zanim my tego Turonia.

— Już jak ty powiesz, to głupiej nie można — Stary był nieubłagany. —Właśnie teraz. Za kilka miesięcy, za rok, może się tam jakoś ułoży. Ale jak teraz ich rzucę, to nie wiem, może na starość lat w dumę się wbiłem, ale jak mi się wydaje... Teraz to tam nie jeden się załamie. Mowy nie ma...

Sinicki jeszcze próbował, ale stary wrócił po prostu do krzyku. Pułkownik poszedł do biurka, siadł, wypił wystygłą herbatę, znowu milczał. Był wyraźnie uspokojony rezygnacją ze swych planów:

— Jakeście się tak uparli, nie ma rady. W gruncie rzeczy jest w tym dużo racji. Tylko, że moim zdaniem należałoby jednak trochę poczekać, nie nastawiać się zanadto. Owszem, siedźcie na swojej Lubelszczyźnie, jeśli tak wam na tym zależy. Ale nie wyjeżdżajcie, siedźcie w wojewódzkim. Choćby trochę robota na tym ucierpiała. My się do nich dobierzemy, dajcie nam kilka tygodni. Zgoda?

— Ja sam wiem, co mam robić. Codzień takie same rady daję swoim: uważajcie, bez potrzeby nie leźcie wilku w gardło. Ale tych potrzeb jest dużo...

Sinicki machnął ręką:

— Uparł się, jak... Nie ma rady. Poślę tam naszym instrukcję, żeby was mieli na oku. Uważajcie na paczki! Mogą wam takiej kiełbasy podesłać...

Żegnali się, stary ozięble, tym energiczniej Sinicki trząsł mu rękę, zazierał w oczy. Była chyba trzecia nad ranem, nad Pragą już niebo mętniało przedświtem.

Jerzy Putrament

EWA KORZENIEWSKA

Powieści Kruczkowskiego wczoraj i dziś *)

MIMO NIEWIELU lat, które nas dzielą od pierwszych wydań powieści Kruczkowskiego, nie podobna już mówić o nich bez uwzględnienia tak nie dawnego, a tak odmiennego od obecnej chwili okresu ich powstania. Mówić o „Kordianie i chamie" i „Pawich piórach" bez uwzględnienia doby przedwojennej, to znaczyłoby krzywdzić autora i powieści. W okresie swego powstania powieści Kruczkowskiego były niewątpliwie rewelacją. Mniej rewelacją artystyczną, bardziej — ideologiczną. Stawały się zarzewiem buntu przeciw utartym w literaturze koncepcjom społecznym i politycznym. Wprowadzały do powieści polskiej kategorie myślenia materialistycznego, poddawały rewizjonizmowi nawet uczuciowy stosunek do spraw ogólno narodowych. Więcej — były bowiem literacką próbą przeciwstawienia się romantycznej i młodopolskiej koncepcji rzeczywistości. Podobnie jak Wyspiański przeciwstawił Konradowi z „Dziadów" Konrada z „Wyzwolenia" — Kruczkowski z romantycznym Kordianem konfrontuje żałosnego w swej małości Felusia Czartkowskiego. Pawie pióra z „Wesela" też dorastają miary symbolu, który musi być przezwyciężony w imię prawdziwej materialistycznej koncepcji rzeczywistości i — jak można przypuszczać—w imię realizmu powieściowego. Kruczkowski podejmuje więc śmiałą walkę na kilku frontach. Walkę godzącą w reakcyjność społeczeństwa okresu międzywojennego, w endecję z jej prymitywnymi hasłami bogoojczyźnianymi.

Ta żywa, publicystyczna problematyka powieści wciągała autora w nastrój zapału bojowego — wymagała też specyficznych środków wyrazu. W każdym razie oddalała go od tego co nazywamy realizmem powieści społecznej. Jednym z „chwytów" raczej publicystycznych niż realistycznych było ostre przeciwstawienie w „Kordianie i chamie" problemu narodowego i problemu krzywdy klasowej. Powstanie traktowane do tego czasu w literaturze polskiej wyłącznie jako zagadnienie narodowe zostało pokazane na tle ostrej walki klas. Krzywda klasowa, czasem roztapiająca się w całkiem osobistych a prymitywnych nienawiściach zasłania doniosłość zagadnienia walki o niepodległość. W okresie przedwojennym może nie byliśmy dalecy od przyznania racji Deczyńskiemu, który mimo swego „awansu społecznego" nie widzi zagadnienia narodowego poza zaślepiającym go poczuciem krzywdy. Dziś chętniej wzięlibyśmy w obronę nawet Felusia Czartkowskiego, który, obojętne z jakich przyczyn, ale porywa się do walki o niepodległość. Nikt nie zaprzeczy, że okres przedpowstaniowy był czasem straszliwej krzywdy społecznej, ale był w równej mierze okresem klęski narodowej. Ostre przeciwstawienie tych dwóch niesprawiedliwości i tłumaczenie niepowodzenia powstania niemożnością pogodzenia walki przeciw obydwóm daje się usprawiedliwić jedynie tym, że powieść Kruczkowskiego chciała być powieścią tendencyjną i chciała pokazywać ówczesną rzeczywistość w zbyt ostrym oświetleniu. Tym też tłumaczy się idealizacja postaci chłopskich i zbyt ponure cienie, kładzione na młodych podchorążych. W okresie międzywojennym przejaskrawienia nie były demagogią, były buntem i wołaniem o zmianę. Były w ówczesnych warunkach — śmiałym wyznaniem ideologii walczącej o sprawiedliwość społeczną.

Dziś widzimy jak dalece autor, jako artysta tkwi w tym okresie i w jak małym stopniu przezwyciężenia ideologiczne wpływają na strukturę powieści, nawet takiej która pod względem problematyki wyprzedza swą epokę. Żywe obecnie zagadnienia dotyczące powieści społecznej i jej stosunku, do realizmu nabierają głębszego sensu wówczas, gdy widzi się jak bardzo artysta jest niewolnikiem środków wyrazu epoki od której nawet odbiega śmiałą myślą. Zależności Kordiana i chama. od form właściwych literaturze modernizmu i konstruktywizmu są tak silne, że z tego względu trudno byłoby traktować ten utwór Kruczkowskiego jako powieść realistyczną.

Typowym zjawiskiem dla okresu międzywojennego było nieprzezwyciężone jeszcze od czasów naturalizmu pokazywanie „wycinka rzeczywistości". Tak robi Reymont w „Chłopach", przedstawiając życie wsi w okresie jednego roku. Wchodzi odrazu w sam tok bieżącego życia i wiele spraw pozostawia otwartych życie bowiem toczy się nadal W powieściach Kruczkowskiego sprawa została skomplikowana przez silne sugestie konstruktywizmu. Autor, podobnie jak naturaliści zaczyna od pokazywania spraw będących w pełnym toku, wprowadza postacie bez żadnych informacji o ich losach czy charakterze, ale obydwu swoim powieściom daje wyraźne zamknięcie kompozycyjne, uwarunkowane założeniami ideologicznymi. „Kordian i cham" kończy się wybuchem powstania — „Pawie pióra" wyruszeniem na front w 14 roku. Oba te zakończenia w stosunku do nurtu powieści są czymś trochę sztucznym, przerywają bieg wydarzeń, ale ich nie kończą — zamykają problem ideologiczny, lecz nie rozwiązują, podobnie jak w „wycinkach rzeczywistości" naturalistów, zagmatwanych spraw ludzkich. Spraw tych jest wiele, autor bowiem metodą konstruktywistów prowadzi kilka wątków równocześnie. Układ powieści daleki od uporządkowania chronologicznego, jest wielopłaszczyznowy. Początkowo każdy rozdział przynosi nowy wątek — potem następuje kolejny nawrót do każdego z nich. Wątki te splatają się ze sobą i rozchodzą. Więzią łączącą je jest problematyka utworu, lecz bynajmniej nie akcja. Wszystkie służą oświetleniu społecznych koncepcji autora a równocześnie, są traktowane dość lekceważąco jako elementy powieści. Podobnie i postacie — zjawiają się dla pokazania swej nędzy czy swej nienawiści i giną na zawsze z przed oczu czytelnika. Ta swoboda artysty daleka od surowego przestrzegania „prawdy życia" u realistów sprawia wrażenie wyraźnej stylizacji. Autor komponuje rzeczywistość w zbyt dostrzegalne formy artystyczne, zamiast na sposób realistów zacierać wszystko, co jest tzw. konwencją sztuki. W „Kordianie i chamie" stylizacja występuje niemal we wszystkich elementach powieści — w języku, stylu, kompozycji, metodach charakterystyki postaci. W rozdziale o Lelewelu charakterystyka profesora jest całkowicie arealistyczna. Autor opisuje kilkakrotnie ręce Lelewela, które stają się symbolem postaci i niemal jedynym elementem jej charakterystyki. „Pan profesor Lelewel długo przyglądał się palcom swej prawej dłoni, niedbale opartej na krawędzi stołu. Były to palce chude i wydłużone, kościanej barwy, przejrzystej epidermy — palce jakby z gabloty muzealnej... Palce przywykłe do grzebania w księgach i woluminach, w starych sztychach, w zaśniedziałych, w numizmatycznych zbiorach... Palce o wielkiej i wytrawnej czułości dotknięcia, choć na brzuścach pyłem bibliotek przeżarte... Niemniej, sztywne w przegubach, zawierające się krogulczo, hakowato — Palce, można by rzec, abstrakcyjne, nieprzydatne do codziennego, pospolitego użytku, prześwietlone jakowymś fluidem w obcowaniu z tajemnicami dziejów polskich i powszechnych — palce — widmo z kości i skóry. W tych palcach właśnie spoczęły dzisiaj losy rewolucji..."

Leon Kruczkowski

W toku rozdziału pełnego dynamizmu i żywej problematyki rewolucyjnej, która aż się prosi o surowy, rzetelny realizm. autor jeszcze kilkakrotnie powraca do ekspresjonistycznego symbolu „palców kościstej barwy, przejrzystej epidermy".

I tutaj rodzi się znowu jakoby przezwyciężone zagadnienie, czy istotnie treść warunkuje jedyną właściwą sobie formę? Czy doniosła i jakże do dziś żywa problematyka powieści Kruczkowskiego nie została osłabiona w swej dynamice właśnie przez przerost koncepcji artystycznej? Czy stosowane przez realistów zacieranie konwencji, a tym bardziej sztuczności ujęcia nie jest koniecznym warunkiem powieści społecznej?

Kruczkowski walczy z problematyką młodopolską przeciwstawia jej trzeźwy, daleki od idealizacji pogląd na sprawy społeczne, ekonomiczne i polityczne, ale posługuje się, zwłaszcza w „Kordianie i chamie" stylem wypowiedzi okresu, który dziedziczy wiele ze środków pisarskich modernizmu. Mniej silnie występuje to w dialogach, które naogół są pełne dramatyzmu i prawdy języka wziętego z mowy potocznej. Natomiast w partiach narracyjnych autor stosuje często styl aż zbyt dotkliwie przypominający Żeromskiego. — „Podziwiał to zwłaszcza, gdy uświadamiał sobie spoistą naturę gromadzkiego trwania, owe związki żywowłókniste, nawęzłone stokrotnie, którymi sam tkwił w gromadzie swojej, jak drzewo w glebie ko-

*) Leon Kruczkowski: „Kordian i cham" Sp. Wyd. „Czytelnik" 1946, Leon Kruczkowski „Pawie pióra", Sp. Wyd. „Czytelnik" 1947.

rzeniami... Jakże oderwać się od calizny, z której się wyrasta!... — Jakże potargać w sobie ten kłąb korzenny, podziemny! —" Metaforyczność stylu, jego patos, przerost słowa nad konkretną treścią, te wszystkie cechy stylu młodopolskiego pokutują jeszcze w „Kordianie i chamie" i niewątpliwie w naszym dzisiejszym odczuciu stanowią jakąś przeszkodę do całkowitego aprobowania powieści Kruczkowskiego. Są bowiem trudnym obecnie do przeżycia estetycznego stylem epoki zbyt niedawnej, abyśmy mogli ustosunkować się doń „historycznie."

W okresie wydania powieści Kruczkowskiego „Kordian i cham" znajdował znacznie szerszy i mocniejszy rezonans społeczny niż „Pawie pióra". Ostrzej stawiał zagadnienia, naruszał ustalone poglądy na sprawę powstania, wdzierał się w dziedzinę uczuć patriotycznych, a więc osobistych i bliskich. Był tym przysłowiowym kijem wetkniętym w mrowisko, zresztą mocno apatyczne i mało ruchliwe, gdzie wywoływał wielkie zaniepokojenie, poruszenie, a nawet popłoch. Był sztandarową pozycją lewicy marksistowskiej, solą w oku zadowolonych z siebie i z rządu B.B.W.R.-owców " i „Ozon-owców" Dzisiaj jest cenną pozycją w literaturze polskiej, która musi być oceniana w kategoriach kryteriów nie tylko społecznych, ale i estetycznych. Jest pozycją niezwykle ciekawą z tego względu, że będąc utworem nawskroś prekursorskim ideologicznie, jest równocześnie pod wieloma względami epigoniczny i otwierając nową problematykę należy do cyklu tych książek, które ciągle jeszcze czerpały z krynicy młodopolskiej.

„Pawie pióra", które przed wojną żyły raczej siłą blasku „Kordiana i chama" wyglądają dzisiaj na wielki krok naprzód w twórczości Kruczkowskiego. Są mniej jaskrawe i buntownicze. Publicystycznie ostremu spojrzeniu autora w „Kordianie i chamie" przeciwstawiają raczej stanowisko socjologa, który analizuje pewne zjawiska społeczne i dąży do trzeźwej oceny. Podobnie i pod względem formy są spokojniejsze, bardziej zbliżone do realistycznej epickości. Wprawdzie konstrukcja powieści pozostała ta sama, oparta na wielopłaszczyznowości wątków, ale styl autora, poddany surowszej kontroli intelektu rzadko sięga takich wyżyn stylizacji i metaforyczności jak w „Kordianie i chamie". Postacie również są wyrazistrze i bogatsze psychicznie. Pogłębienie problematyki wpłynęło na szersze rozbudowanie tła społecznego i na znacznie obiektywniejsze oświetlenie przedstawicieli rozmaitych grup społecznych. Autor zachowuje większą dyskrecję w ujawnianiu swoich przekonań. Tezy ideologiczne wynikają z konfrontowania wydarzeń i przekonań postaci. Pisarz Płonka, który doprowadza do sprzedaży pastwiska gminnego i którego działalność jest całkowicie podporządkowana ideologii szlacheckiej, jest właściwie postacią sympatyczną. Przedstawiony jest jako porządny i uczciwy człowiek, który nie szuka własnych korzyści i pracuje dla sprawy w którą wierzy. Dyskredytuje go nie jego charakter i przekonania, lecz skutki jego działalności. Ta metoda przekazywania problemów jest już metodą realisty, który odsłania przed czytelnikiem wydarzenia, przemawiające siłą swoich konsekwencji.

„Pawie pióra" Kruczkowskiego są jedną z nielicznych polskich powieści, które istotnie analizują i rozwiązują zagadnienia wsi. Autor zarysowuje schemat struktury społecznej wsi polskiej początku XX wieku i obok zagadnień społecznych, conajmniej równorzędnie oświetla ważne problemy ekonomiczne. Zróżnicowanie ludności wiejskiej pod względem zamożności jest tym czynnikiem, który wedle autora decyduje o postawie ideologicznej. Zamożniejsi gospodarze, bądź jak Karelus są całkowicie pogrążeni we własnym dostatku i osobistych kłopotach, bądź też chętnie łączą się ze stronnictwem szlacheckim. Interesy ich bowiem raczej skłaniają do obrony istniejącego stanu posiadania. Ludność najuboższa, ta która z nędzy idzie na zarobki do Prus i nie ma czym wyżywić rodziny chętniej daje posłuch hasłom socjalistycznym i rewolucyjnym. Sprawa walki o niepodległość jest właśnie sprawą tej grupy społecznej — „Bo to widzicie obywatelu zawsze o jedno tu chodzi o ziemię! Kto jej dużo posiada ten się przewrotów wielkich boi i dlatego ową zgodę głosi, zawsze jej ma pełną gębę! Lud zaś małorolny i bezrolny, wcale na nią przystać nie chce, bo w tej zgodzie kochanej cóż go czekać może? To że zgodnie po bożemu będzie głodem przymierał wieczyście w nędzy i ciemnocie! I dlatego dzisiaj, na przekór — rządowej galicyjskiej polityce, garnąć się zaczyna do myśli o przewrotach wielkich, w których się Polska wyzwoli niepodległa i ludowa". W „Pawich piórach" walka o niepodległość narodową jest równoznaczna z walką o sprawiedliwość społeczną. Takie postawienie zagadnienia, które daje możność rozwiązania najgłębszych konfliktów jest w swym optymiźmie społecznym bliższe doktrynie materializmu.

Tempora mutantur. — Dzisiaj pragniemy surowej i obiektywnej prawdy podanej w kształcie najprostszym. Niechętnie reagujemy na ekspresjonizm konstruktywizm i symbolizm. Dlatego wymagamy od powieści artyzmu, który się nie narzuca, który jest tym wartościowszy im bardziej pozwala mówić zdarzeniom i postaciom. „Pawie pióra" są bliższe tym formom sztuki, są utworem, który w ubogim dorobku polskiej powieści z życia wsi stanowi jedną z tych cennych pozycji, którym niestety powojenna twórczość nie dorównuje. Ta powieść Kruczkowskiego daje w porównaniu np. z „Mystkowicami", Gałaja nie tylko ważną problematykę ale i umiejętność budowania ciekawej tematyki. Sprawa nie jest błaha, gdyż najwartościowsza ideologicznie powieść, gdy jest „nudna" zabija sama siebie. Kruczkowski posiada trudną umiejętność pogodzenia poważnej problematyki z żywością fabuły. I to jest nie najmniejsza z jego zasług jako pisarza.

Ewa Korzeniewska

KAZIMIERZ BRANDYS

JULIANA GAŁAJA POWIEŚĆ O GROMADZIE

ZDAJE SIĘ, że o trzytomowej powieści Gałaja*) nie wydrukowano dotychczas recenzji w żadnym z czołowych pism literackich w kraju. Oczywiście, z braku sił krytycznych taki sam los spotyka ostatnio również szereg innych utworów — zbyt dobrze mi są znane redakcyjne kłopoty z wynajdywaniem recenzentów po najgłuchszych zakątkach Rzeczpospolitej. Zwłaszcza krytycy literaccy obeznani z problematyką wsi—okaz w swoim rodzaju rzadki — są trudni do złowienia, tym bardziej, że zagadnienie chłopskie rozporządza własną prasą, dotkniętą, wiemy o tym, podobnym brakiem piór sprawozdawczych, które doprawdy nie są manną niebieską w naszym kraju.

Dlatego, mimo iż przeczytałem powieść Juliana Gałaja od deski do deski, obawiam się, że moje wrażenia i sądy na jej temat nie będą tak gruntowne, jak te, którymi mógłby się z nami podzielić np. Jan Aleksander Król — niestety, zawsze zajęty, bo przecież w Polsce Ludowej Król jest tylko jeden!

W n-rze 44 „Kuźnicy" pisała Anna Kamieńska: „Jeśli mówimy w cudzysłowie o „chłopskiej powieści" (Wł. Kowalski, J. Morton, J. Pogan) i chłopskiej poezji, to tylko z uwagi na współczesną problematykę wsi w nich zawartą, na ziarna publicystyki wnoszące do literatury ogólnopolskiej sprawy, które z gruntu rzeczy są dla publiczności literackiej egzotyką tematyczną i problemową... Dlatego też krytyka literacka „Wsi" bez pretensji do wyczerpania dzieła literackiego stara się odczytać z książek prozy i poezji obraz rzeczywistości społecznej wsi wpisany w dzieła literackie, stara się przełożyć je na język publicystyki... Sens tej roboty, sens krytyki omijającej literackość i ocenę formalną utworu dla jego wartości pozaliterackich tłumaczy się dostatecznie współczesną sytuacją pisarstwa chłopskiego. Zadaniem jego nie jest udowodnienie raz jeszcze w historii, że i chłopi potrafią, nie jest tym zadaniem udokumentowanie raz jeszcze praw chłopa do zajęć humanistycznych i literackich... Natomiast zadaniem chłopskiego pisarza byłoby dziś uczynić w nowy sposób stawianą problematykę wiejską — problematyką narodowo ważną".

Ten obszerny cytat posłuży, aby określić punkt wyjścia. Praca Juliana Gałaja uderza ogromem swego materiału socjologicznego, i jeśli chodzi o zapoznanie czytelnika z rzeczywistością społeczną polskiej wsi, niewątpliwie należy ją uznać za rewelację dużego formatu.

Przedmiotem powieści jest wieś Mystkowice, położona w powiecie łowickim (charakterystyczne, że ludzie Gałaja używają jeszcze nazwy „Księstwo"," nie „gubernia" czy województwo"). Czas akcji rozgrywa się między okresem poprzedzającym pierwszą wojnę światową — aż do rządów sanacji, tuż przed wybuchem drugiej. Powieść nie ma jednego bohatera, choć kilka postaci jest wysuniętych przed inne, a zwłaszcza Paweł Łękis, działacz „Wyzwolenia" i jego syn, Bolek, socjalista. Fabuła obejmuje stale i jednocześnie losy kilkunastu rodzin mystkowickich, często zaglądając do wiosek sąsiednich, na plebanię, do pobliskiego miasteczka, ukazując wszelkie przyległości socjalne, jak bezrolnych Kurkowiaków, śruby polityczno - administracyjne, jak posterunek policji, czy urząd podatkowy i agencje ideologiczne, jak agitator endecki Kolasic.

Narracja Gałaja trzyma się jednak konsekwentnie swego głównego obszaru, wychodząc zeń tylko po to, aby wyraźniej go określić: jest to gromada mystkowicka, złożona z kilkunastu rodzin mało i średniorolnych, od kilkumorgowców do „półwłócznych" czy „trzyczęściowców". Naliczyłem w tej powieści kilkudziesięciu żywych literacko ludzi. Gałaj pokazuje ich za pomocą szybkich skrótów, każdego na trochę lecz często, i operując niemal wszystkimi jednocześnie, niechętnie zapuszcza się na dłużej w ich indywidualne dzieje. Jest to powieść o kolektywie, nie o jednym człowieku. Najczęstsze i najlepsze są w pracy Gałaja sceny zbiorowe, gromadne, w których bohaterką jest wieś ze swą zbiorową psychologią, obyczajem i interesem. Do nich należy zaliczyć sceny kawalerskich bójek, czy wyborów sołtysa, lub powrót gromady mystkowickiej do swej zniszczonej przez wojnę wioski.

Ale ciągle i skrzętnie zbierając wokół siebie w każdym momencie narracji garstkę ludzką, którą opisuje, Gałaj pielęgnuje jednocześnie jej chronologię, związki czasowe i narastanie generacji. Dlatego w wielu partiach Mystkowice mają charakter sagi— nie o jednej rodzinie, lecz sagi gminnej — z jej stopniową przemianą zjawisk w nowe formy, psychologii w nowe konstrukcje, środowisk w nowe konsystencje.

W dotychczasowy dorobek literatury chłopskiej praca Gałaja wnosi wielkie wartości, właśnie przez ukazanie rozległej przestrzeni czasowej. „Mystkowice — wioska mała", jest to obraz problematyki wsi polskiej w jej rozwoju, nie w jednym, zastanym momencie historycznym. Laik napotyka tu nie tylko zjawisko, którego nie zna, lecz również jego dynamikę, wyposażoną w bogaty wymiar czasu, i jego źródła, wciąż akcentowane stanowczo i uparcie.

Gałaj ciągle pamięta o szerokim planie opisanych procesów, wprawiając w tym celu w ruch dalekie basy swego komentarza, który przetyka co pewien czas akcję wykładem socjalno - gospodarczym. W wielu partiach udaje mu się to, w innych chybia. (Częściej, przyznajmy, chybia. Długie, kilkustronicowe fragmenty manifestu Rządu Lubelskiego są na pewno niepotrzebne. Streszczenie przebiegu pierwszej wojny światowj stylem markowanym na „chłopski rozsądek" — wątpliwe). Ale pomijając ich wartość literacką — idę tu za wskazaniem Anny Kamieńskiej — obecność tych gloss w pracy Gałaja, świadczy bardziej tylko wymownie o tym, co zawarte jest w samej narracji na temat losów mystkowickiej gromady. Wielką bowiem zdobyczą Gałaja, zdobyczą dla prawdy i sztuki, jest odkłamanie losu chłopskiego. Nieraz używaliśmy w „Kuźnicy" terminu: „konstrukcja losu ludzkiego", na który (termin, nie los) skarżył się kiedyś p. Kisielewski, lamentując że nie potrafi go zrozumieć. Otóż, ażeby i p. Kisielewski zrozumiał: konstrukcja losu człowieka w dziele literackim znaczy ukazanie życia ludzkiego w świetle prawdziwych, kształtujących je przyczyn i skutków. Jeśli ktoś pragnie przekonać innych, że los człowieka nie rozgrywa się tylko w jego wewnętrznych przestrzeniach moralnych, musi stworzyć nową „antyconradowską" konstrukcję losu ludzkiego, w której obnażyłby dialektykę sił rzeczywistych, od jakich kształt tego losu istotnie jest zależny.

Powołuję się tutaj na sprawy z dalszego sąsiedztwa po to, aby tym mocniej podkreślić nowatorstwo Gałaja. Autor „Mystkowic" miał do czynienia z potężnym przeciwnikiem, któremu na imię Władysław Reymont. To przecież twórca „Chłopów" stworzył nie co innego, lecz właśnie „reymontowską" konstrukcję losu polskiego chłopa, sugerując zależność od natury, niezmiennego obrotu pór roku, zasiewów i żniw, piorunów i deszczów — jako nadrzędny i nieubłagany zespół sił, kształtujących życie jednostki i gromady. „Chłopi" — to piękne dzieło artystyczne, ale fałszywa interpretacja chłopskiej doli i niedoli. Stąd krok do filozofii profesora Pigonia, zawartej w jego ostatniej książce, o której miałem zaszczyt pisać w swoim czasie, do filozofii

Julian Gałaj

miedzy i ruczaju, do zamknięcia wsi w okręgu głosów natury i fujarek, do otoczenia jej malowaną tradycją, do izolacji od postępu techniki i kultury, krótko—do odgrodzenia od robotniczych miast i robotniczych „nowinek".

Niewiele mamy w literaturze polskiej dzieł, gdzie słuszność polityczna byłaby równie pełna i niewątpliwa, jak w pracy Gałaja.

W swej klawiaturze, która nie tyle może jest bogatą, ile stanowczą, autor wciąż wywołuje jeden groźny, uparty ton. Porusza go w dialogach swych ludzi, demonstruje w niezawsze zręcznym, ale konsekwentnym komentarzu, nawraca do niego w zdarzeniach. Jest to ciągle ten sam, niezmienny akcent zależności wiejskiego życia od szerokich przemian na świecie, od sił politycznych, od zjawisk gospodarczych, od wyrastania nowych ideologii. Szukałem na tych stronach barwnych opisów orki i siewu, ale nie znalazłem. Szukałem scen miłosnych nad ruczajem — ale, prócz dość brutalnych opisów „jarchania" (słówko dla kolekcjonerów) między gospodynią a parobkiem czy żołnierzem niemieckim, i to wcale nie nad ruczajem, lecz na pierzynie w chałupie — także nic takiego nie znalazłem. Można zaryzykować twierdzenie, że Gałaj w swej „antyreymontowskiej" konstrukcji chłopskiego losu przesadził trochę w drugą stronę: książka byłaby na pewno ładniejsza i bardziej pociągająca literacko, gdyby autor więcej w niej miejsca poświęcił plenerowi i charakterom ludzkim. Tymczasem pleneru prawie nie ma, a charaktery są ledwie tknięte. Brak starania o plastykę jest wielkim brakiem Gałaja. Po prze-

*) Julian Gałaj „Mystkowice — wioska mała" Cz. I „Paweł Łękis", cz. II — Kameleony" Cz. III „Krystalizacja" Sp. Wyd. „Książka" 1946.

czytaniu książki nie wiem jak wygląda wioska Mystkowice — bo autor mi jej nie pokazał. Książka jest mocna, surowa, bije z niej wspaniała prawda o zbiorowości, ale ktoś się skarżył niedawno, że trudno mu było przeczytać ją do końca, bo „czy można przeczytać trzy tomy, w których bohater jest wyłącznie zajęty zakładaniem mleczarni?"

Oczywiście, również przesada. Paweł Łękis, prócz zakładania mleczarni, robi także wiele innych rzeczy, ale, należy przyznać, że jak na bohatera powieści jest postacią mało efektowną. A przecież Gałaj w swych „Mystkowicach" dał niejeden dowód, że jest artystą, nie tylko kronikarzem — socjologiem. Właśnie Paweł Łękis! Czołowa postać powieści Gałaja ma wiele rysów prawdziwie wydobytych. Przez zestawienie dwóch postaci, Pawła i jego syna, Bolka, Gałaj postawił obydwie: starego, nieco nieśmiałego politycznie „Wyzwoleniowca", któremu ciągle jeszcze przeszkadza wspomnienie pańszczyźnianego bata nad głową jego rodziców, i młodego bojownika o sojusz robotniczo - chłopski, dla którego świat mystkowicki będzie tylko fragmentem szerszej działalności. Prócz tych dwóch postaci, udają się Gałajowi zwięzłe szkice ludzkie i epizody o silnej plastyce (małżeństwo Chupcika), z których autor niejeden porzuca przed pointą, jakby nie chcąc lub nie umiejąc pokazać ich do końca (zaniedbanie sceny niedoszłej zemsty wyrzuconego z kościoła bezbożnika na księdzu). A przede wszystkim Gałaj zdradził się jako szeroki epik, panujący do ostatka nad rozległym obszarem czasowym swej powieści, w którym wszystkie elementy bez przerwy działają.

I właśnie dlatego, właśnie na tle wielkich zalet społecznych tej książki i zadatków jej artystycznych wartości, wady powieści Gałaja występują tak jaskrawo. Autor, wyrzekając się pokusy beletrystycznej, stworzył dzieło bliższe kronice obyczajów i przemian polityczno-społecznych, niż literaturze pięknej. Jest w nim wiele prawdy historycznej, nie ma atrakcji artystycznej. Jest głęboka świadomość ideologiczna, brak troski o wybór środków.

Mógłbym tych wad wyliczyć więcej, ale sądzę, iż rozsądniej i sprawiedliwiej będzie uznać pracę Juliana Gałaja za bezcenny surowiec, z którego jego własny lub cudzy talent pisarski stworzy w przyszłości piękne dzieło sztuki.

Kazimierz Brandys

KSIĄŻKI NADESŁANE

Jalu Kurek: „Woda wyżej", wydanie drugie, nakł. wydawnictwa „Przełom", Kraków, 1947, str. 243.

Hofmokl - Ostrowski: „Żarty" (Szkice biograficzne), Kraków, 1948, str. 63.

Hofmokl Ostrowski: „Szkice biograficzne", nakł. wydawnictwa „Forum", Kraków, 1945, str. 56.

Gojawiczyńska Pola: „Rajska jabłoń" (Powieść), nakł. Spółdz. Wydawn. „Czytelnik", Wraszawa, 1947, tom I, str. 200, tom II, str. 243.

Meissner Janusz: „Wyspa ostatniej nadziei", nakł. Spółdz. Wydawn. „Czytelnik", Warszawa 1947, str. 141.

Filipowicz Kornel: „Krajobraz niewzruszony" (Opowiadania), nakł. Spółdz. Wydawn. „Czytelnik", Warszawa, 1947, str. 210.

Daniłowski Gustaw: „Z minionych dni" (Fragmenty powieściowe), nakł. Spółdz. Wydawn. „Czytelnik", Warszawa 1947, str. 190.

Kraszewski Józef Ignacy: „Hrabina Cosel" (Powieść historyczna), nakł. Spółdz. Wydawniczej „Czytelnik", Warszawa 1947, tom I, str. 238, tom II, 212.

Bobińska Celina: „O prostym człowieku w ZSRR", nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka", Warszawa 1947, str. 116, zł. 150.

Kurski Aleksander: „Powojenny plan pięcioletni w ZSRR", nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka", Warszawa 1947, str. 144.

Słowacki Juliusz: „Anhelli", Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych, Nr 23 pod red. Kazimierza Budzyka, nakł. Spółdz. Wydawn „Książka", Warszawa 1947, str. 58, zł. 80.

Prus Bolesław: „Powracająca Fala", wyd. II, Mała Biblioteczka „Książki", nakł. Spółdzielni Wydawn. „Książka", Warszawa 1947, str. 84, zł. 75.

Stalin Józef: „Zagadnienia leninizmu", nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka", Warszawa 1947, str. 564, zł. 600.

Lider J., Bojko S. i Kalicki W.: „ZSRR w odbudowie" (Album), nakł. Spółdzielni Wydawn. „Książka", Warszawa 1947, str. 62, zł. 125.

Rawlings Kinan Marjorie, przekł. Adama Galisa: „Roczniak" (Powieść), nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka", Warszawa 1947, str. 418, zł. 650.

Supiński Witold: „Od Westerplatte do Hiroszimy", nakł. Wydawnictwa Zachodniego, Poznań 1947, str. 183.

PRZEGLĄD PRASY

Mimo trudności papierowych, mimo nawoływań istniejącej już prasy literackiej ilość bibliograficznych pozycji czasopiśmienniczych wzrasta nieustannie. Czy to dobrze, czy źle? Myślę, że na takie pytania należy odpowiadać jedynie po zapoznaniu się z tymi nowoprzybywającymi pozycjami. Inaczej wszystko co powiemy będzie nosiło posmak demagogii, która najszkodliwsza bodaj jest wówczas, gdy się ją przymiesza do spraw kulturalno-artystycznych.

Oto przeglądam 6—7 numer „Miesięcznika Ludowego", pisma poświęconego sprawie krzewienia kultury na wsi. Pismo to powstało w roku bieżącym 1947. Jest to spory zeszyt 48-stronicowy, wydany dość starannie. Na okładce: fotografia górala w stroju regionalnym z ciupagą; jak mnie informuje napis na odwrocie okładki jest to M. Cholewa, kierownik góralskiego zespołu „Wsi Tworzącej" w tańcu zbójnickim. Cobyście powiedzieli kochani czytelnicy, jeśli następny numer „Kuźnicy" przyniesie fotografię redaktora naczelnego w mazurze? Ale to są żarty. Natomiast treść zeszytu „Miesięcznika Ludowego" wcale nie usposabia do żartów. Zdawałoby się, że podtytuł pisma wspominający o „krzewieniu kultury" na wsi upoważniłby nas do oczekiwania, iż w treści numeru znajdziemy przedruki najcenniejszych utworów naszej klasycznej poezji i prozy, reprodukcje cennych dzieł plastycznych etc., zaopatrzonych rzecz prosta w odpowiedni komentarz objaśniający i jednocześnie zachęcający mieszkańca wsi do dalszego zaznajamiania się z najwyższymi osiągnięciami naszej rodzimej, a może także i obcej kultury. Tymczasem znajdziemy w numerze mnóstwo artykułów o administrowaniu sprawami kultury, artykułów nie zgrupowanych zresztą wokół żadnego ośrodka tematycznego. Artykuły te może powinny ukazać się w wypracowującej teoretyczne podstawy ruchu ludowego w kulturze „Wsi", ale pocóż „Miesięcznik Ludowy" dubluje „Wieś"?

W dziale literackim mamy dodatek „Wieś Tworząca". Dodatek ten przynosi znowu artykuły i utwory literackie, które bynajmniej nie mogą stanowić kulturalnego wzorca dla wiejskiego czytelnika. Przeciwnie — te artykuły i te teksty literackie zamykają się bez reszty w zagadnieniu wiejskim. Horyzont czytelnika pozostaje wobec tego ledwie przesunięty poza opłotki jego rodzinnej wsi. Wiersze tu drukowane są niestety poniżej wszelkiego poziomu artystycznego, proza publicystyczna i literacka pełna dobrych chęci, ale dobre chęci i szlachetne zamiary w kulturze to tylko połowa roboty, która można zresztą całkowicie zepsuć brakiem umiejętności wykonawczych. Jedyną ciekawszą i według mojego zdania pożyteczniejszą od innych pozycja jest artykuł Stanisława Czernika o Klemensie Janickim. Jest to jedyna praca, która nie kłóci się z podtytułem pisma: krzewienie kultury na wsi. Nie dba również „Miesięcznik Ludowy" o informowanie swoich czytelników o tym, co się w Polsce wydaje, co gra się w teatrach, na koncertach, w kinach. Książki pisarzy polskich nie są tu w ogóle omawiane, skromne sprawozdanie Adama Włodka z książki sowieckiego pisarza, Antoniego Makarenki nie powinno zwalniać redakcji od obowiązku informowania czytelników o ruchu wydawniczym w Polsce. Wystarczyłyby może tylko krótkie wzmianki z których czytelnik na wsi mógłby wywnioskować, czy warto daną książkę przeczytać, czy warto ją wypożyczyć z miejscowej biblioteki (jeśli taka biblioteka jest-). Gdyby ktokolwiek stworzył sobie obraz kultury polskiej na podstawie lektury 6 — 7 numeru „Miesięcznika Ludowego", to obraz ten byłby z gruntu fałszywy. Boję się jednak, że ten fałszywy, ograniczony do wąskich ram t.zw. literatury chłopskiej obraz przyswajają sobie setki młodych mieszkańców wsi. Jestem pewien, że młodzież wiejska ma potrzeby znacznie rozleglejsze i że przyjęłaby bez trudu wielki, humanistyczny dorobek naszej bogatej kultury, jeśli by tylko odpowiednie instytucje i wydawnictwa działające na wsi i dla wsi zechciały zrewidować swój program niesłusznego zamykania się w chłopskim ghetcie kulturalnym.

Drugą nowością wydawniczą, choć znacznie młodszą i zupełnie inną jest 1 nr. „Nurtu".

Przez wiele tygodni intrygował mnie stale powtarzający się w pismach literackich ogłoszeniowy slogan: „Młoda literatura w natarciu! Czytajcie „Nurt". Oto ukazał się pierwszy numer tego pisma redagowanego przez bardzo utalentowanego prozaika, Tadeusza Borowskiego. Czym naciera młoda literatura, czyli czym różni się właściwie „młoda literatura" od „starej". Na okładce, zresztą interesującej plastycznie, Marian Bogusz narysował niby to prymitywnie, a dość kunsztownie syrenę w spisie rzeczy Aragon, Sartre, Steinbeck czyli starzy dobrzy nasi znajomi, wspomnienie Borowskiego o zmarłym przyjacielu, artykuł Macha o książce Stefana Kisielewskiego. To wszystko zmieściłoby się świetnie w „Odrodzeniu", „Nowinach" i w „Kuźnicy" i w dodatku trzy redakcje byłyby z pewnością wdzięczne za tak dobry materiał.

Reszta: wiersze Gajcego, Rożewicza, Ziembickiego znamy również z prasy tygodniowej literackiej, Stanisław Marczak-Oborski w swoim artykule „Walka o treść", po raz drugi wysuwa te same pretensje do polskiej prozy współczesnej, co i starsi od niego o pięć lat krytycy. Proszę nie myśleć, że nie podoba mi się pierwszy numer „Nurtu". Przeciwnie: podoba mi się. Podoba mi się, że Borowski drukuje Aragona, Sartre'a i Steinbecka, podoba mi się, że bierze w obronę przed niezdarną tłumaczką świetną powieść Hemingwaya, podoba mi się to, co pisze w „Portrecie przyjaciela". Podoba mi się artykuł Macha, wiersz Gajcego, przekłady Ewy Fiszer i podoba mi się nawet kiedy Marczak-Oborski pisze, że nie występuje przeciw „estetyzowaniu", a za „logiką polityczną". Nie podoba mi się oczywiście, gdy ten sam Marczak-Oborski pisze, że „gotowi jesteśmy przyjąć taki lub inny wyraz artystyczny, jeżeli tylko dzieło będzie miało w sobie prawdziwie „życiowe bebechy". Nie, to mi się stanowczo nie podoba! Ale myślę, że i to co mi się podoba w pierwszym numerze „Nurtu" i to co mi się nie podoba, nie różni się od tego, co mi się podoba lub nie podoba w „Odrodzeniu", „Nowinach" i „Kuźnicy".

Dlatego też wydaje mi się, że młoda literatura w natarciu nie różni się wcale od „starej literatury". Czy ograniczenie się wiekiem, tworzenie izolatora dla określonych roczników jest słuszniejsze od włączania się do istniejących już formacji literackich? Myślę, że między rocznikami 1910 — 1925 niema żadnych sprzeczności poza być może ilością przeczytanych książek i przepracowanych myśli. Mimo wszystkich zastrzeżeń natury teoretycznej życzę „Nurtowi" jaknajpomyślniejszego rozwoju!

p.h.

KORESPONDENCJA

Jeszcze o „Najeźdźcach"

Do Redakcji „Kuźnicy".

Nawiązując do zamieszczonego w dniu 2 listopada br. w „Dziś i Jutro" listu p. Dobraczyńskiego stwierdzam:

Choć cytat o niebohaterskim wojsku odnosi się rzeczywiście do Rumunów — to geneza omyłki tkwi nie w moim tendencyjnym podejściu do powieści lecz w całym klimacie książki i rozłożeniu barw „białych" i „czarnych" przez autora. Przykładów właśnie tendencyjnego przedstawienia walk Rosjan z Niemcami, jest w powieści Dobraczyńskiego bardzo wiele a ich emocjonalne zabarwienie nie budzi żadnych wątpliwości. Przykłady:

1. walka powietrzna Koestringa z lotnikami sowieckimi, kiedy to Koestring „pomimo grozy położenia poczuł, jak mu pierś rozpiera duma: on pilot zwykłego, nurkowca strącił dzisiaj dwa pościgowce nieprzyjacielskie, uszkodził trzeci i ocalił eskadrę" (str. 30 t. II).

2. walka Koestringa i Wolfratha z wartownikiem sowieckim, kiedy „obu Niemców poderwała jednocześnie wola czynu", kiedy nie bacząc na „długi świst przelatujących pocisków a sądząc po świście można było złapać świergocącą muchę (91/II) — ci uciekający Niemcy wychodzą zwycięsko.

3. walka Koestringa z grupką kawalerzystów (92) „grożące niebezpieczeństwo odegnało od niego precz wszystkie słabości", zalała go „dzika chęć walki, zawziętość i duch oporu chwyta rzucony karabin — zaterkotała seria i dwa, trzy konie runęły w śnieg. „Jeźdźcy rozproszyli się na wszystkie strony, niby stado wróbli, między które chłopak ciśnie kamieniem" (92/II). A kiedy już trzech nowych jeźdźców runęło na ziemię — „reszta zawróciła i za chwilę znikła za małą fałdą" (93/II).

„Oddziałek" (94/II) żołnierzy niemieckich w walce z Rosjanami „oddziałek" „o wyglądzie wojowniczym" **wita** Rosjan ogniem... walka zamieniła się w zaciekły pojedynek dwóch grup śmiertelnie znużonych i zziębniętych ludzi. Rosjanie **w każdym** uderzeniu tracili po kilku ludzi, którzy jeżeli padali w kręgu bagnetów niemieckich byli nimi przybijani do ziemi, toteż w końcu dali za wygraną i pozwolili oddalić się Niemcom (94/II).

4. Klimat ucieczki Niemców z obozu — to klimat ich bohaterskiej walki i klimat modlitwy.

5. Po stronie przeciwnej co najwyżej: naiwność, drapieżność i fanatyzm.

Nie sądzę, aby dalsze cytowanie było potrzebne. Taki właśnie a nie inny sposób widzenia rzeczywistości wynika z zasadniczej postawy autora, który wychodzi poza ramy „czystej wiary" i staje się politykiem, który nie potrafi w sposób obiektywny przedstawić walki Rosjan a wyczyny Niemców przesuwa w sferę mitu.

Barbara Rafałowska

SPÓŁDZIELNIA CZYTELNIK WYDAWNICZA

PRZEKŁADY Z LITERATURY ROSYJSKIEJ

Dwa wieki poezji rosyjskiej
ANTOLOGIA
Ułożyli i opracowali Pollak S. i Jastrun M.
str. 496

✲

PAWŁOW I. P., SHERRINGTON CH. S., ADRIAN E. D.
Mózg i jego mechanizm
Tłum. Konorski J., Miller S.
str. 173
(Biblioteka „Mathesis Polskiej")

✲

PRISZWIN M.
Korzeń życia
Tłum. Stawar A, Hertz P.
str. 268

✲

SZOŁOCHOW M.
Cichy Don
Tłum. Stawar A. Rogowicz W.
T. I cz. I str. 143
T. I cz. II str. 168
T. I cz. III str. 226
T. II cz. I str. 225
T. II cz. II str. 254

✲

TOŁKACZEW Z.
Majdanek
(Teka graficzna)

✲

TOŁSTOJ A.
Droga przez mękę
TRYLOGIA
Tłum. Broniewski W.
Cz. I „SIOSTRY" str. 375
Cz. II „ROK OSIEMNASTY" str. 430

✲

TUWIM J.
Lutnia Puszkina
ANTOLOGIA
str. 153

✲

JAKUBOWSKI W.
Słownik rosyjsko-polski i polsko-rosyjski
Cz. I str. 430
Cz. II str. 461

KSIĄŻKI DLA MŁODZIEŻY:

CZUKOWSKI K.
Bajki
Tłum. Broniewski W.

✲

GAJDAR A.
Timur i jego drużyna
Tłum. Jarmolińska H.
str. 89
(Biblioteczka Młodego Czytelnika)

✲

GORKIJ M.
Dzieciństwo
Tłum. Bilska H.
str. 207

✲

ILJIN M.
Jak samochód uczył się chodzić
Tłum. Gulbińska St.
str. 21
(Biblioteczka Naukowa Młodego Czytelnika)

✲

TOŁSTOJ L.
Dzieciństwo
Tłum. Hertz P.
str. 155
(Biblioteczka Młodego Czytelnika)

W NAJBLIŻSZYM CZASIE UKAŻĄ SIĘ

ILJIN M.
Sztuczne oko
Czarno na białym
100.000 Dlaczego?
Góry i ludzie

✲

SZOŁOCHOW M.
Cichy Don
Tom III, IV

TOŁSTOJ A.
Piotr I.
Tom I

ŚWIĘTO ZMARŁYCH

Kiedy w dniu 3 września 1944 roku w Lublinie ukazał się pierwszy numer „Odrodzenia", na naczelnym jego miejscu, tuż pod nagłówkiem, w czarnej obwódce, rzucone zostały oczom polskim po raz pierwszy w sposób jawny nazwiska tych ludzi kultury i sztuki, którzy od nas odeszli w czasach pogardy.

Była to lista bardzo niekompletna i zawierająca nawet nieścisłości. Dziś jesteśmy w posiadaniu opracowanej przez prof. Olszewicza „Listy strat kultury polskiej" w objętości trzystu kilkudziesięciu stron druku.

Nazwiska badaczy, techników i organizatorów kultury mieszają się z nazwiskami twórców. Wspomnienia o ludziach czynnego życia — ze wspomnieniami o ludziach książki, pióra, pędzla i sceny.

Oto rok 1939, Lublin. Ten sam, w którym pięć lat później rozlegał się pierwszy głos wolności: zmiażdżony przez bombę lotniczą ginie wspaniały poeta Józef Czechowicz, ten, co jeszcze przed kilkoma miesiącami pisał w śmiałym rzucie poetyckiej wyobraźni,

„...będę strzelał do siebie i marł wielokrotnie
ja, gdym z pługiem do bruzdy przywarł,
ja, przy foliałach jurysta,
zakrztuszony wołaniem: gaz,
ja, śpiąca pośród jaskrów
i dziecko w żywej pochodni,
i bombą trafiony w stallach,
i powieszony podpalacz
ja, czarny krzyżyk na listach..." („Żal")

Oto te same posępne dni września. W przystępie rozpaczy przecina sobie żyły jeden z najświetniejszych umysłów dwudziestolecia filozof, dramaturg, powieściopisarz i teoretyk sztuki — Stanisław Ignacy Witkiewicz. — W tragicznym odwrocie ginie popularny prozaik Dołęga - Mostowicz.

Ponura jesień 1939: pierwsze listy rozstrzelanych, pierwsze egzekucje. Wśród nich, na małej, czerwonej klepsydrze ukazuje się nazwisko pierwszego z rozstrzelanych pisarzy, krytyka Rafała Blütha. W nieznany bliżej sposób zgładzony zostaje po uprzednim aresztowaniu poeta krytyk i tłumacz Stefan Napierski. To pierwsi.

A potem? Nazwiska sypią się jedne za drugimi coraz liczniej, nie sposób już spamiętać kolejności. Starszych zabiera śmierć naturalna może, lecz niewątpliwie przyśpieszona tragizmem czasu. Umierają Zegadłowicz, Berent. Innym, o wiele liczniejszym odbiera życie wróg strzałem w czaszkę lub torturą.

Tadeusz Boy - Żeleński, Mieczysław Braun, Stefan Essmanowski Ludwik Fryde, Halina Górska Tadeusz Hollender, Janusz Korczak, Ostap Orwin, Pomirowski, Stanisław Rogowski, Bruno Schulz, Edward Szymański... Wymieniam pisarzy, których nazwiska znalazły się już wtedy, jesienią 1944 roku, w pierwszym numerze „Odrodzenia", na pierwszej niepełnej liście...

Potym dni wyzwolenia i ostatnich walk: tragiczna śmierć Lucjana Szenwalda i Teodora Bujnickiego. Powstanie: Karol Irzykowski, Juliusz Kaden - Bandrowski, Wanda i Stanisław Miłaszewscy, Włodzimierz Pietrzak, cała grupa najmłodszych talentów poetyckich, młodych chłopców warszawskich, poległych z bronią w ręku. Trudno wymienić wszystkich. W dniu święta zmarłych zwykle przywołuje się ich imiona. Czynimy to. Czy po to tylko, aby w dniu następnym utonęły na powrót w pyle zapomnienia?

Gorzko stwierdzić, lecz ci, którzy do zachowania pamięci pisarzy przyczynićby się mogli — wydawcy — mają jak dotąd do ich puścizny stosunek niewłaściwy. Poza poeziami Luciana Szenwalda, poza kilkoma wznowieniami (kasowymi i aktualnymi!) wielkiego Bova — polski świat wydawniczy nie zrobił dotąd niczego, by uczcić pamięć pisarzy, którzy stracili życie w latach wojny. Nie uczcił nawet tych, których zamordował nasz dzicz. Nie wydano wierszy Czechowicza, Hollendra, Rogowskiego, Bujnickiego nie ma reedycji Irzykowskiego, Brunona Schulza. — Może nie każda z książek tych autorów wydaje się dziś specjalnie aktualna, ale nie o to tutaj chodzi. Pamiętajmy, że trzy czwarte polskich księgozbiorów uległo zagładzie. — Rzecz w tym, by te książki i te nazwiska pozostały w ogóle. Nie wiem czy na jednej półce bibliotecznej nie zmieściłyby się ocalałe egzemplarze książek niejednego z tych których nie wydano może tylko dlatego, że nie będą o swoje sprawy zabiegać tak, jak pisarze żyjący, że o swoje się już nie upomną...

Czasem ogarnia gorycz, kiedy się pomyśli, co uczyniliby naprzykład Czesi którzy jedną spalona wioskę umieli podnieść w międzynarodowej opinii do godności symbolu, gdyby mogli wydać dziś i pokazać światu utwory kilku dziesiątków pisarzy zmarłych i poległych w walce o wolność? Czy byłoby do pomyślenia, żeby książki te leżały i czekały dotąd na wydanie? W Niemczech, gdzie w czasie dwunastu lat rządów Hitlera straciło życie w obozach koncentracyjnych czterech podrzędnych, słabiutkich niemieckich poetów — wydaje się ich wiersze w luksusowych wydaniach, żeby pokazać okupantom, że przecież było paru sprawiedliwych... Czy to nie wstyd, że książki ich ukazują się, a u nas nie wydaje się Czechowicza wybitnego poety kraju który walczył z faszyzmem, a w dodatku poety o niebo, o trzy klasy lepszego?

Myślmy o zmarłych w dniu ich święta, ale myślmy realnie. Niech nasza pamięć przyobleka się w kształt widoczny. Inaczej nie wiele jest warta.

Kandyd

Noty

Głos rozsądku

Organ samopomocy chłopskiej w strefie sowieckiej publikuje artykuł p. t. „Mehr Lebensraum", z którego przytaczamy wyjątki:

„Gdy dzisiaj rozpoczniemy dyskusję na temat sytuacji aprowizacyjnej Niemiec, znajdzie się zawsze jakiś mędrek, który stara się nas przekonać, że przyczyną naszych kłopotów wyżywieniowych jest wyłącznie „utrata przestrzeni życiowej". Ponieważ jednak dzisiaj, pomimo wielu braków, podobnych mędrków mamy pod dostatkiem, tego rodzaju wypowiedzi nie powinny być brane pod uwagę. Zbyt znaną jest już piosenka o przestrzeni życiowej. Towarzyszy ona polityce kolonialnej z okresu Wilhelma i wołaniu o odpowiednie znaczenie w świecie. Jest ona tak samo głośna, jak gadanie na temat gospodarki wielkoprzestrzennej i kłamstwa o „narodzie bez przestrzeni". Jeśli nie przeciwstawią się jej mocno i stanowczo ci wszyscy, których zubożyła walka właśnie o tę przestrzeń życiową, może dojść do tego, że wkrótce będzie rozbrzmiewała stara melodia, tylko z nowym tekstem.

Czy możemy spodziewać się, że napadnięte przez faszyzm ograbione i zbeszczeszczone kraje sąsiednie, będą przyglądały się bezczynnie, jak Niemcy, które dopiero co odzyskały pewną równowagę, znowu będą gotowe dosiąść „wysokiego rumaka" i poszukać głupich, którzyby z nimi „popędzili" przeciwko wschodowi.

Dobrobyt narodu nie zależy od ilości posiadanych kilometrów kwadratowych, lecz od wysokości stanu jego produkcji. O ile Niemcy posiadały wysoko rozwinięty przemysł, o tyle produkcja rolna nie odpowiadała w żadnym wypadku specjalnym niemieckim założeniom. Tu rozpoczyna się droga nowego rozwoju, która wciska nam do rąk nie broń, lecz przyrządy rolnicze, abyśmy z ich pomocą zapewnili naszej przestrzeni życiowej bogatsze plony. Dotychczasowa gospodarka ekstensywna i konieczność jej zmiany, daje nam szerokie możliwości. Ograniczenia, które spowodował koniec wojny powinny być dla nas bodźcem do wkroczenia na drogę gospodarki intensywnej. Aby to osiągnąć, należy przede wszystkim przeprowadzić reformę rolną w całych Niemczech, zastosować wszelkie możliwe środki w dziedzinie intensywnego zagospodarowania ziemi i postarać się natchnąć mieszkańców wsi duchem demokracji. Z chwilą rozwoju nowych metod gospodarczych, zupełnie nowych planów uprawy i płodozmianu, stworzymy podstawę nie tylko dla racjonalnej pracy, lecz przede wszystkim zwiększymy wydajność rolnictwa. Ustaną wtedy walki o przestrzeń życiową. Dla narodów miłujących pokój nie istnieją żadne zagadnienia prócz zagadnień rozwoju własnej chęci do pracy i własnej inteligencji".

bs.

Pamiętacie wąsik Menjou?

Komisja Izby Reprezentantów do spraw działalności antyamerykańskiej, która zajmuje się obecnie badaniem „wpływów komunistycznych" w Hollywood, zapoznała się z oświadczeniem znanego artysty filmowego Adolfa Menjou.

Menjou oświadczył, że Moskwa pragnie zużytkować filmy jako środek dla osiągnięcia swych celów, z których jednym jest obalenie rządu amerykańskiego. Zdaniem Menjou, Hollywood jest jednym z głównych centrów aktywności komunistycznej w Ameryce. Mówiąc o Chaplinie, oskarżonym o sympatie komunistyczne, Menjou zaznaczył, że artysta ten w sposób „wybuchowy" mówi o różnych sprawach i jest specjalistą wojskowym i finansowym, sugerując w ten sposób, iż jest niebezpieczny.

Menjou wypowiedział się krytycznie o filmie „Misja do Moskwy", który jego zdaniem „jest obrazem całkowicie nieuczciwym" oraz o filmie „Gwiazda Północy", o którym powiedział, iż nie należałoby nakręcać go wogóle.

Krytyk filmowy John Moffitt oświadczył przed komisją że Broadway jest opanowany w dużym stopniu przez komunistów, a Hollywood jest „twierdzą komunizmu".

Jak się okazuje stary amant został komikiem!

Henri Rousseau i Walt Disney

W numerze 40-tym „Odrodzenia" z dnia 5. X. 1947, p. Stanisław Gogłuska zamieszcza „Kronikę Francuską", którą poświęca muzeum malarstwa impresjonistycznego w Paryżu. Kronika ta o charakterze ściśle informacyjnym nie budziłaby żadnych zastrzeżeń, gdyby nie kilka zaiste rewelacyjnych uwag.

P. Gogłuska zaczyna od stwierdzenia, że „w impresjonizm wprowadza sala pierwsza (muzeum) z olbrzymimi płótnami Fantin-Latour'a". Niestety, nie uda się zaprzeczyć, że Fantin - Latour nikogo w impresjonizm nie wprowadza, natomiast p. Gogłuska wprowadza czytelnika polskiego w błąd. Wiadomo bowiem powszechnie, że Fantin - Latour z impresjonizmem jako kierunkiem malarskim nie miał nic wspólnego, prócz tego, że malował zbiorowe portrety impresjonistycznych malarzy. Samemu panu Gogłusce udało się określić wartość tego malarstwa zdaniem kapitalnym, powiada bowiem: „na płótnach tych (Fantin - Latour'a) widzimy postaci mistrzów impresjonizmu wielkości naturalnej" — i chociaż krytyka malarska, jak dotąd nie posługuje się w ocenach zdaniami tego rodzaju, trudno nie przyznać p. Gogłusce słuszności.

Autor „kroniki" nie zadawala się jednak tak świetnym osiągnięciem i brnie dalej. Wyliczając obrazy znajdujące się w muzeum, stwierdza, że „o ile na parterze przeważają obrazy stosunkowo spokojne, to na piętrze oszałamia nas prawdziwy wybuch barw". Warto zaznaczyć, że na tak źle potraktowanym przez p. Gogłuskę parterze znajduje się cały Manet i Degas, o walorach kolorystycznych, o których napisano grube tomy. Nieszczęsny czytelnik, zasugerowany metafizyczną niechęcią p. Gogłuski do parteru gruntuje w sobie fałszywe sądy, których piękną serię rozpoczęła ocena Fantin - Latour'a. Ale dopiero przy wypowiedzi o malarstwie Henri Rousseau rzecz staje się prawdziwie rewelacyjna. „W muzeum znajdują się dwa obrazy Henri Rousseau w oryginalnej technice przypominającej filmy Walta Disneya", pisze p. Gogłuska i zdanie to jako z gruntu humorystyczne nie zasługiwałoby na żadną replikę, gdyby nie fakt, że może ono doprowadzić czytelnika do najdziwaczniejszych wniosków. Wiadomo bowiem, że w Polsce zna się raczej kreskówki Disneya, niż obrazy Rousseau; że jeżeli się o Rousseau cokolwiek wie (ciągle oczywiście mowa o przeciętnym odbiorcy, nie o fachowcach) — to o tematyce jego malarstwa, o zawartych w nim treściach, które przywykło się uważać za satyryczne, nie zaś o formie. W zestawieniu z tym myśl, którą p. Gogłuska lansuje, a którą sprowadza wielkie osiągnięcia formalne Henri Rousseau do kolorkowych i seryjnych (choć pełnych wdzięku) rysunków Disneya, wydaje się całkowitem nieporozumieniem.

Może warto by jednak zachowywać odrobinę ostrożności, gdy mówi się o rzeczach bardzo serjo?

jg.

Demokracja amerykańska w roku 1947

Amerykańskie czasopismo polskie „Kronika Tygodniowa" podaje, iż ze względu na fakt, że w filmie amerykańskim „Curley" na

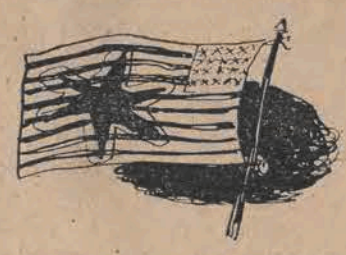

równi z białymi artystami, biorą udział murzyni, cenzor zabronił wyświetlania tego filmu. Zaznaczył on, że na południu USA prawo nie pozwala murzynom na uczęszczanie do szkół dla białych, ani też nie uznaje równości społecznej ras, to też tego rodzaju filmów nie wolno wyświetlać. Organizacje demokratyczne podjęły akcję przeciwko temu zarządzeniu.

bs.

Demokracja angielska w roku 1947

„Daily Worker" przynosi opis śmierci przywódcy komunistów singaporskich Lin Ah Liang. Śmierć Lina jest przez prasę malajską przypisywana skutkom katowania, jakiemu został on poddany w więzieniu Outram Road, gdzie zamknięto go za popełnienie „zbrodni" wzięcia udziału w „nielegalnym" pochodzie w dn. 15 lutego 1946 r., dla upamiętnienia rocznicy uwolnienia Malajów z pod okupacji japońskiej. Pochód ten został zakazany przez brytyjskie władze wojskowe. Oświadczyły one, że demonstracja była zorganizowana w celu

ośmieszenia Brytyjczyków i że miała im ona przypomnieć o niechlubnej klęsce w roku 1942(!). Pomimo zakazu brytyjskiego pochód miał miejsce. Lin Ah Liang, młody dziennikarz, który w czasie okupacji japońskiej był jednym z przywódców wielce aktywnego ruchu oporu, a aresztowany przez Japończyków został przez nich poddany torturom — znalazł się w więzieniu powtórnie, tym razem w więzieniu brytyjskim. Przesiedział w nim 18 miesięcy i zmarł niemal natychmiast po zwolnieniu. Nie ma wątpliwości — stwierdza „Daily Worker", że śmierć jego w wieku 31 lat, nastąpiła na skutek złego traktowania w więzieniu.

bs.

Wpływ sielanek greckich

Jan Parandowski w essayu „Księżyc nad Świdrem", umieszczonym w „Nowinach Literackich" opisując swój pobyt w Świdrze w czasie okupacji poświęca czułe wspomnienie również kolejce podmiejskiej:

„Poczciwa „ciuchcia", jak ją powszechnie nazywają, ma już dziś po świecie niewiele rówieśnic. Jedna z nich kursuje wśród wąwozów i gór Peloponezu; upamiętniła się w moim życiu, wioząc mnie z Olimpii do Tripolis (136 km) w ciągu szesnastu godzin, od wschodu do zachodu słońca. Taki sam powolny, stateczny bieg, pamiętający uczone debaty medyków z połowy XIX w. na temat: czy organizm ludzki zniesie pęd „parowych koni", taki sam gwizd wabiący dni dziecińśtwa, i zawsze wspina się człowiek po stromych schodkach wagonu z uczuciem, że jedzie à la recherche du temps perdu. W okresie okupacji „ciuchcia" była nam bardzo droga. Drobny rezerwat polskości. Niemcy nie mieli i jakby nie chcieli mieć z nią nic wspólnego. Lekceważyli ją tak wielkodusznie, że o ile wiem, nigdy zielony mundur nie rzucił okiem na te wagony, pachnące mięsem, słoniną i masłem, które w ostentacyjnym bezpieczeństwie wiozły jowialne kumoszki z Karczewia. I cokolwiek się działo: czy bomby padały, czy srożyła się nagonka na ludzi, w zawieję śnieżną czy w luty mróz, zawsze ten zawadiacki gwizd przenikał szarzyznę lub czerń rannej godziny, a za nim dawało się słyszeć strudzone sapanie lokomotywy".

O ile nam wiadomo, opis ten jest nazbyt platoniczny. Zielony mundur zjawiał się dość często w tych „wagonach pachnących mięsem, słoniną" etc. i wypróżniał je umiejętnie z tych przysmaków, nieraz również z ludzi.

Parandowski pogrążony w rozmowach z cieniami wielkich filozofów i poetów, wsłuchany w dźwięk fujarki pastuszej zapomniał w bukolicznym upojeniu o świecie go otaczającym... Zdarza mu się to często.

r. d. c.

Redaguje: Zespół „Kuźnicy". Wydawca: Zespół „Kuźnicy"
REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr 96. — Telefon 205-42.
CENA OGŁOSZEŃ: Za 1 mm na 1 szpalte 40 złotych.
WARUNKI PRENUMERATY:
miesięcznie zł 80,—; kwartalnie zł 240,—; półrocznie zł 480,—; rocznie zł 960,—.
Należność za prenumeratę należy wpłacać do P. K. O. konto VII—567 „Prenumerata Kuźnicy".
D—023501 Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź, Żwirki 2.

DO REDAKCJI

Wobec tego, że w swoim czasie nazwisko moje ogłoszono na liście Rady Artystycznej Filmu Polskiego, uważam za stosowne podać do wiadomości, że od maja r. b. nie jestem członkiem Rady Artystycznej i nie pełnię funkcji doradcy literackiego Filmu Polskiego.

Adam Ważyk